Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 30 gr.

ODSKOCZNIA

AKADEMICKI MIESIĘCZNIK LITERACKO-KULTURALNY

Rok I. Lublin, styczeń 1936 r. Nr. 1.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: LUBLIN, UNIWERSYTET, BRATNIA POMOC, TELEFON 11-29

Edmund Lipecki

Bohatyrewicze

(zaścianek)

Hej! hej! A nie omincie przypadkiem w tym pędzie Bohatyrewicz!

Srebrzysty głos Hani, towarzyszki naszej kajakowej podróży po Niemnie, aczkolwiek był dźwięczny i wyraźny dolatywał już zdaleka.

Otarłem pot z czoła, w tejże chwili Witek prysnął na mnie chłodną wodą.

Pomogę ci — zaśmiał się pełną piersią, budząc śpiącą na brzegu czaplę.

Odrzuciłem wiosło i skoczyłem do rzeki. Opanowały mnie chłodnoczary Niemna. Buszowałem w nurtach pełnym ruchem rąk zagarniając wodę. Oczyma podziwiałem pasma ciągle zmiennej panoramy brzegów, wyrastających z prawa i z lewa. Bajeczna dekoracja do mej rozkoszy w słońcu, powietrzu i wodzie.

Jakiś brutalny przedmiot pogrążył mnie w głębinie wód. Wypłynąłem z okrzykiem „wara!" i wyrwałem wiosło Hani, która z wysokości kajaka zadała mi nim cios i pociągnąłem ją ku sobie. Henek, jej współtowarzysz zaperzył się, Załagodziłem sprawę, oddając dobrowolnie zdobycz i siadając okrakiem na tyle łodzi.

— O jakich Bohatyrewiczach mówiłaś, Haniu? — zapytałem.

— Pusta głowo, niepomna wielkiej Elizy Orzeszkowej, trutniu literacki, co po Niemnie wędrujesz, a nie znasz jego natchnienia — oburzała się kobieta — toż niebawem będziemy mijać najpiękniejszy z pięknych zakątków nadniemeńskich, miejsce gdzie piękno, natura i miłość stają się synonimami.

— Wraz z tobą — rzuciłem, skacząc do wody.

Zrównaliśmy się kajakami. Moje mokre nogi chłodziły zziajanego jazdą Witka, gdy się usadowiłem.

Przed nami na zakręcie rzeki zamajaczyły kontury domów oczepionych bujną zielenią. Paluszek Hani wędrował po sztabowej mapie, usteczka po chwili wykrzyknęły — Bohatyrewicze!

*

W historji literatury naszej spotykamy wspaniałe opisy miejsc, które stały się źródłem natchnienia wielu naszych wieszczów, poetów, pisarzy, miejsc będących nietylko cudnemi zakątkami natury, lecz także wspaniale opisanych lub zaznaczonych jako tło przeżyć autora.

Znamy piękno Mickiewiczowskich Tuchanowicz, podziwiamy jego Świteź, która pielgrzymek godną się stała, zachwycamy czarem Puszczy jodłowej i świętokrzyskich borów Żeromskiego, Skalne Podhale Tetmajera odsłoniło nam swą krasę, i przecież nikt nie ominie okopów świętej Trójcy na Podolu, nie wspomniawszy wielkiego Krasińskiego.

Gdy zbliżałem się, niesiony prądem Niemna, do okolic, które literacki talent Orzeszkowej odtworzył z tak niesłychaną dokładnością wszelkiego, panującego tam uroku — powieści rozmiłowanej w lasach, wodach, wzgórzach i ludziach zamieszkujących te strony, doznałem uczucia, że jestem przecież nikim innym jak pielgrzymem przybywającym tutaj, by poznać, nacieszyć się pięknem i pochylić czoła, u źródeł natchnienia pisarki, przed jej wielkością.

Niewątpliwie uczucie to skojarzyło się z tem wszystkiem, czem w owej chwili darzyła mnie natura otaczająca Bohatyrewicze.

Wyniosłe brzegi rzeki, zlekka falujące łagodną linją wzgórz, ukazywały z lewej strony dworek cały skąpany w zieleni sadów, a dalej nieco osiedle przywarte do siebie, złączone cienistą kaskadą drzew. Tu i ówdzie jakiś domek, jakby śmielszy i odważniejszy wysuwał się bardziej, tuż nad urwiste wybrzeże. Po prawej stronie Niemna pysznił się cały roztopiony w promieniach słonecznych las, który dalej urywał się nagle, a ukazywała się soczysta zieleń młodego zagajnika. U stóp drzew i drzewek rozpościerał się chodnik łąki, stykający się bezpośrednio z wodą.

Załamujący się w głębi zakręt rzeki uwidaczniał wzgórze przecięte dość wysokim parowem. Na szczycie widniała kępa drzew i krzyż. Całość była objęta nieskazitelnym błękitem nieba.

Trudno jest odtworzyć urok zewnętrzny Bohatyrewicz, aby natura i osiedle stały się malarskim majstersztykiem wyobraźni, trzeba mieć talent Elizy Orzeszkowej.

Kto chce poznać i utrwalić sobie ten zakątek Polski, odsyłam go do powieści Nad Niemnem lub do samych Bohatyrewicz.

Bardziej natomiast czuję się powołanym do naszkicowania małego reportażu jak i czem żyją Bohatyrewicze i ile w nich zachowało się prawdy z opisów powieściopisarki.

Majątek Bohatyrewicze należy nadal do pp. Strzałkowskich, jest jednak mocno podniszczony i obdłużony. Podobno dziś nie większą ma wartość jak zagrody Bohatyrewiczów.

Sama okolica, czyli zaścianek Bohatyrewicze, odległy od dworu o paręset metrów jest zamieszkały przez kilkanaście rodzin, wszyscy... Bohatyrewicze jak jeden mąż.

Zagrody schludne, dobrze utrzymane, domy dość duże z obszernemi werandami. W oknach firanki i liczne kwiaty. Każda zagroda tonie w obfitym sadzie. Budynki gospodarskie często murowane, dużo nowoczesnego sprzętu rolniczego. Inwentarz od 2 do 6 koni, kilka krów, trzoda chlewna i drób.

Wchodzimy na ganek jednej z zagród. Prosimy o mleko. Zbliżam się do starszego jegomościa o podłużnej twarzy, niebieskich oczach i sumiastych wąsach i przedstawiam mu się, poczem zapoznaję z nim Hanię, Heńka i Witka. Starszy pan wszystkim wymawia głośno i dobitnie swoje nazwisko. Za chwilę wychodzą dwie panny i młody człowiek. Zapoznajemy się wszyscy. Z prawdziwą satysfakcją ujmuję zupełnie delikatne i małe rączki panien Bohatyrewiczówien i patrzę w ich roześmiane, niebieskie oczy.

Opowiadamy swoje przygody podróżne. swój zachwyt dla Niemna i zaścianka. Komunikujemy skąd pochodzimy. Niebawem nadchodzą jeszcze Bohatyrewicze i jeszcze Bohatyrewicze i powinowaci, rodzina, kum, kuma, krewni, skoligaceni — wszyscy Bohatyrewicze.

Pijemy mleko i zajadamy smaczną pszenną bułkę, którą nas częstuje uprzejmy gospodarz, zdaje się p. Jan Bohatyrewicz syn Jana.

Hania jest oblegana przez młodych panów B., flirtuje z nimi na zabój. Wszyscy są bardzo mili i bardzo dowcipni. Nawet Heniek się na to nie zżyma, a także Hani dłużny nie pozostaje.

Ja również zainteresowałem się panną Jadzią B. Ma śliczne niebieskie oczy, b. delikatny owal twarz, puszyste blond włosy i misternie wykrojone usteczka. Wszystkie są do siebie podobne, tylko Jadzia ma z nich urodę najsubtelniejszą.

— Czy waćpanna zechce mi łaskawie towarzyszyć do parowu Jana i Cecylji? — zapytuję.

— Mój panie—odpowiada, śmiejąc się— nie jestem żadną waćpanną, u nas już tak się nie mówi, to stare dzieje.

— Dobrze zatem Jadziu... replikuję z uśmiechem.

Rozbawione towarzystwo bierze się pod ręce; wędrujemy wszyscy zwiedzić grób Jana i Cecylji. Czujemy się jak starzy znajomi.

Schodząc do parowu nieomieszkałem prowadzić pannę Jadzię pod rączkę.

Grób Jana i Cecylji mieści się na wyniosłem wzgórzu. Jest otoczony skromnym ale regularnym płotkiem, na wzgórze prowadzą specjalnie wybudowane schody.

Dwie kamienne płyty obok siebie i krzyż z rzeźbą Chrystusa, znamionują iż leżą tu prochy tych, którzy założyli ród Bohatyrewiczów.

Panna Jadzia śpiewnym głosem opowiada towarzystwu historję Jana i Cecylji.

„Kilka wieków wstecz, kmieć Jan porwał z orszaku królewskiego księżniczkę młodą i piękną. Przywiódł ją do swej osady nad Niemnem, wokół której ciągnęły się wówczas wielkie, nieprzebyte knieje. Księżniczka Cecyija pokochała swego męża i była z nim szczęśliwa. Dnia pewnego Książę zapędziwszy się na łowach za odyńcem napotkał śliczną kobietę na leśnej polanie. Oczarowany jej urokiem wstąpił do zagrody Jana, wyrażając podziw dla żony leśnego człowieka.

Widząc wielką miłość ich dwojga, oraz bohaterstwo Jana zamieszkującego tak niebezpieczne odludzie nadał mu szlachectwo i nazwał Bohatyrewiczem.

Odtąd potomkowie ich zwą się takoż i ze czcią wielką wspominają swych prarodziców".

— I dlatego panna Jadzia jest tak urocza jak i jej praprababka Cecylja — dodałem, gdy skończyła opowiadanie.

Obeszliśmy cały parów i obejrzawszy pola okoliczne powróciliśmy do zagród. Czas naglił, trzeba było opuszczać naszych miłych gospodarzy, opuszczać z żalem.

Dowiedziałem sią również na zakończenie, że wielką czcią jest otaczana postać Elizy Orzeszkowej, która stała się poprostu orędowniczką, wielkiej i pięknej tradycji Bohatyrewiczów.

Wsiadając do kajaków obiecaliśmy solennie na przyszły rok przyjechać tu raz jeszcze, ale już na dłużej.

Z naręczami kwiatów żegnały nas panny Bohatyrewiczówne. Bukietem Jadzi byłem cały zasypany, Witek i Heniek także. Hania musiała dać wzamian za kwiaty od młodych szlachciców, broszkę—krokodyla i mnóstwo całusów z rączki.

— Dowidzenia waćpanno Jadziu — wołałem z łódki.

— Nie jestem waćpanną tylko Jadzią!

— Dowidzenia Jadziu!

Niebieskie oczęta patrzyły z żalem, w rączce powiewała chusteczka.

Miałem chwilę kiedy chciałem wyskoczyć z kajaka i wpław powrócić. Witek chlusnął we mnie wodą—oprzytomniałem.

Silny nurt Niemna niebawem uniósł nas w dal, za chwilę, znikły z oczu zaściankowe dworki.

Oto garść wrażeń, trwałych i niezapomnianych jakie wyniosłem z rodzinnych stron Orzeszkowej.

Zrozumiałem cały wielki pietyzm powieściopisarki dla Niemna i Bohatyrewicz a słowa Hani wypowiedziane jeszcze przed zwiedzeniem zaścianka, że piękno, natura i miłość są tam synonimem mają swój głęboki sens.

Władysław Podstawka

U kresu goryczy

Dziś tak, jakby ktoś sadzą strudzone oczy zakurzył.
Porywa głowę wichrów rozkrzyczany zawój.
Zabranych ogniom śmierci, pochwyconych burzy
pozostaw i z żywymi swe modlitwy sprawuj!..

Gdy nam rzucają w twarze słowa charczące zgrzytliwie,
gdy mrok nad zlękłe twarze czarnym płomieniem się wzniósł,
sypią się myśli zetlałe szarem, dymiącem igliwiem
i gorycz piersi przepełnia i serce rozsadza mróz.

Ciągną w śmierć karawany. Sępy kołują i kraczą.
I noc. Oczyma szakali gwiazdy zamglone się czają.
To: droga, której rzuconoć, nie pouczywszy, coś zaczął,
wszystkie wymiary straciła i nie zawiedzie do kraju.

Ten sen jest jawą milknącą, ten sen mi w gardle skowyczy. —
— Uniesiesz ciężką pokrywę — spojrzysz w cuchnący grób.
To będzie tyle ze sławy: kośćmi świecący mój trup.
— Więc powiedz — co mam uczynić, jeśli nie wolno mi krzyczeć!..

Błądzę stracony. Przemijam. I nikt mię sercem nie wesprze.
Zginę. To jasne i gorzkie. Lecz topór w dłoni utrzymam.
Spłyną obłoki spokojne — jęki żórawi powietrzem
i sny się słodko pochylą nad zastygłemi oczyma.

Wtedy na czoło oplute nie ciśniesz garścią kamieni,
wtedy pod niebem rozpętasz krzyki straszliwe i płacz.
Lecz ja — lecz mnie — zapóźno będzie zbawienie,
raczej złe ptactwo przywołaj i z ptactwem zawódź i kracz!..

Płatki jabłoni na oczy — białe, różowe — jak słowa
ścięte w młodości szalonej na grzędzie pragnących warg.
— Powstać z koszmarnych snów — zacząć to życie od nowa!.
Płatki jabłoni na oczy i wiatr melodją har...

Nam nie potrzeba tak wiele. Srebrna, iskrząca na liściu
kropla po burzy wystarczy. W niej ty i słońce i czas.
Kładąc na usta zatrute: — świeże, czerwone wiśnie —
zgadniesz, co stało się z nami i czego zabrakło w nas...

Jerzy Szczepowski

Znalazł Danyłko...

(nowela)

W miarę przygotowań wszystkim coraz mocniej w płuca bębniły serca najgłuchszym, miękim łomotem. Był to jakgdyby szmerowo-łagodny bas, który niepokojem wypełniał całą klatkę piersiową i tłoczył się aż w gardło. Niektóre słowa wytrącone z jakiejś myśli, podobne dręczącym nieraz motywom piosenki, powtarzały się i tłukły bezsensownie po głowie. Iwanowi chudemu coraz prędzej latały pająkowate ręce i cienie po twarzy.

W mózgu wiruje mu: „zakrótki sznurek". Powtarza to sobie w myśli, jak ostatnie słowa pacierza, którego dalszy ciąg nie może mu się przypomnieć. Dłubie palcem bosej nogi w glinie i próbuje zacząć odwodzić towarzyszy od nawpół wykonanego planu. Powiada lekkim, ale i lekko drżącym tonem: „A taki żaba byłaby fajniejsza". Skręciliby my z papieru rurkę, wsypali wszystek proch i dawáj — zapalić... Ja już robił (nie prawda: słyszał od Mit'ki kowala, co teraz w wojsku). Skacze, strzela — na sznurku. („Za krótki sznurek" — znowu mu zaszeptało w myśli). Na sznurku — kończy z wysiłkiem, — a tak — co? — bach, jak z dubeltówki i szkoda prochu.

Tylko wąskousty Danyłko zwrócił uwagę na tchórzliwe propozycje Iwana. Fedoś zajęty smarowaniem sznurka jakąś starą świecą, a polski Romek kopie dołek na butelkę. Danyłko nawet nie westchnąwszy wydostaje powoli z kieszeni wybłyszczoną w piachu swoją „piątkę" austrjackich. Mniej austrjackich naboi na stochodzkich polach. Trudno dobrać i doczyścić taką piątkę. Starając się wyważyć pocisk z łuski, z cieniutką pogardą w głosie, mówi: „ot, żeby tobie nie było, jak z dubeltówki". Spojrzeli na niego wszyscy trzej i pomyśleli:

— „Durnowaty, na nożyk się nie zamienił, a teraz sam popsuje".

— „Za krótki sznurek".

— „Mówili, że rozrywne te kulki, a on stuka i nic".

I znowu wrócili do swojej roboty.

A Danyłko, z drapieżnym błyskiem w białych zębach, czy szarych oczach, z zaciętą demonstracyjnością, dosypuje do prochu w butelce proch z całej swojej piątki.

Proch suchutki. Butelka z grubego, zielonego szkła już i tak do połowy wypełniona. Odbijają się w niej nieskończenie wydłużone ich twarze i bardzo duże ręce. Po glinie lizie bursztynowa mrówka i dźwiga nawpół wykruszony, suchy, zapleśniały listeczek koniczyny. „Ot, żeby tobie nie było jak z dubeltówki". Zaśmiał się. Wrzucił jeszcze i mrówkę do prochu, do butelki. Położyli w dołku, dobrze przyklepali gliną. Na wierzch spory kamień. Iwan zdenerwowanym palcem prawej nogi wydłubał już drugi krzemień z mokrej gliny.

„Iwan, dawáj zapałki". Ani mowy skłamać. Wiedzą, że ma. Są trzy w pudełku.

Z chłopską troskliwością dla ognia pochylają się i zasłaniają dłońmi. Na nic: pierwsza zajęła się malutkim, niebieskim, pykającym ogieńkiem. Pokołysał się i sichł. Drugą, palącą się na fest, wytrącił Romek podkładając sznurek. Próbowali żarzącym się koniuszkiem podrażnić lont.

Ale ostatnia zapaliła się ostro, różowo oświetliła wgięte garście chroniące od wiatru. Przeniósł się żagielek ognia na sznurek i zaczął wolno, chybotliwie płynąć ku butelce. Po zwęglonym sznurku biegały iskierki, jak robaczki. Widzieli tę chwilę dużemi oczami, a potem — w nogi. Danyłce chciało się po drodze dogonić Iwana i pchnąć, żeby się przewrócił. W jamie, skąd brały baby glinę do mazania toku w chacie, w głębokiej jamie, bezpiecznie. Najbezpieczniej dlatego, że już nie tyłem do tej butelki, tam już płomyk pewnie dopełza. Rośnie mietlista bielica i białawy piołun. Świerszcz im bardzo w czekaniu przeszkadza. Są sekundy, kiedy chce się koniecznie zamknąć oczy i po psiemu stulić uszy.

Już nawet żadne słowa nie mielą się po głowie, a świerszcz tem mocniej wświdrowuje się w spłoszony mózg.

Czekanie stało się zbyt długie i nagle się przełamało.

Waliły jeszcze serca, ale już było wiadomo, ni z tego. Obsypywała się podkopana ziemia do jamy i kołysały się drobniutkie, popielate korzonki od oddechów.

Odczekiwali jeszcze długą chwilę, już w zupełnem odprężeniu. Świerszcz to śmiał się, to ucinał, jakby też jeszcze wyczekiwał. Wyjść jednak bali się jeszcze. A może tam się sznurek tli wolniutko? Pójdą, pochylą twarze, a tu, jak nie walnie.

Okazało się, że sznurek dopalił się ładnie do samego wlotu szyjki. A dalej, czy to z braku powietrza, czy też dlatego, że jedną stroną przylegał do szkła, czy może dlatego, że gorzej posmarowany był, dalej palić się nie chciał. Został na szkle wilgotny, odymiony ślad. A do prochu było tak niedaleko.

Wracali niewiadomo: źli, czy zadowoleni z takiego obrotu rzeczy. Tak, jak nie wie, czy ma martwić się, czy cieszyć szesnastolatek wracający z pierwszej, a nieudanej schadzki, która miała zadecydować o jego męskości.

W każdym razie byli bardzo podnieceni, niewyładowani. Nawet kłótnia nie dałaby im ulgi, więc milczeli. Niebo nad nimi sunęło niskie, brzuchate. W butelce mozoliła się złośliwa mrówka. Danyłko dzwonił w kieszeni nadwyrężonemi łuskami i kulkami. Popsuł taką piątkę. Jak się kulki powsadza w gilzy, to wszystko jedno będą się „chitać"*) choroby. Każdy odrazu pozna, że wypaproszone. Chyba, żeby młotkiem obklepać.

Przypomniała mu się wyrażona już kiedyś propozycja zamiany na scyzoryk.

I nagle bardzo, ale to bardzo zechciało mu się mieć ten scyzoryk. Coby on nim wyrżnął. I fujarkę. A szablę wystrugać? I biczysko przyozdobiłby. Ani mowy za takie kulki popsute. Scyzoryk kosztuje. Poprosił potulnie: ty, pokaźno noża. Ale Romek też sobie w tej chwili uzmysławiał wartość posiadaną. Ij, nie chce mi się, powiedział i zaczął gwizdać.

Młode, nabrzmiałe jęczmienie schylały się rytmicznie, jakby dziobiąc łodygi swych sąsiadów, albo ćwicząc jakąś dziwną gimnastykę skłonów. Za mocniejszymi powiewami stały uległe swoje włosy, jaśniejąc na chwilę całem, falistem polem.

Ani mu teraz było do pieroga z fasolą zostawionego przez matkę. Na ławie umytej siedział i marzył. Z tem smutnem przeświadczeniem ludzi, którzy wiedzą, że ich marzenia są rzeczywistością dosięgalną, niedbaną, łatwą dla innych.

O, Mychałko naprzykład: stryja ma, co świnie bije. Od tego stryja wycyganił jeden bagnet francuski z rowkami. Z rączką mosiężną. Toż taką rączkę doczyścić, bagnet na rzemień wziąć i nosić przy boku! Ale i pochwę by wyszorował. A może toby był taki bagnet z zatrutym końcem? Są i takie. Nikogoby się nie bał wtedy. Jakby chcieli, żeby pokazał, toby mówił, że niemoże, bo zatruta broń. Ukolesz i śmierć. Podobno te rowki to poto, żeby krew wytryskała. Na wojnie to tak: z takim bagnetem na karabinie, naturalnie na rozkaz, to on biegnie w szeregu z innymi i krzyczy. A naprzeciw stoi szereg wrogów. A on akurat na oficera. Krewby rowkami trysła. A on za rewolwer tego oficera w żółtej skórze. Widział raz taki rewolwer, nawet słyszał jak strzelali. Łukaszewicza koń dostał nosaciny. Łukaszewicz po doktora. Przyjechał, kazał dół wykopać, podprowadzili tego konia pod sam dół. Co takie głupie zwierzę wie? A doktór bach z rewolwera w sam łeb. Ot, taki rewolwer mieć. Ale rewolwer był już szczytem i kresem marzeń. Dalej już niewiadomo, coby można było chcieć. Więc trzeba było zaczynać od nowa.

Po izbie świątecznie wymazanej chodziły kury. Błyszczeli ze ścian święci. Muchy szeleściły w zakurzonych, zrobionych z czerwonej, karbowanej bibułki różach i w bardzo dużych niebieskich niezapominajkach. A w małe szyby bębniły z beznadziejną natarczywością, jakby nie wiem jak chciały się wydostać na podwórze, z którego tak tłumnie garnęły się przez drzwi. Na stole, w mosiężnej i już trochę zaśniedziałej łusce od pocisku armatniego, żółciły się kwiaty. Przez polepę przebiegł pod piec duży zakłopotany tarakan, bardzo wstydząc się tej wycieczki.

Ij, co tam. Zaraz rewolwer. Karabinby jakiś znaleźć zardzewiały, niech i bez kolby. Niechby kowal „obreza" zrobił tak, jak jego dorosłemu, ciotecznemu bratu.

Miałby też wtedy kochankę. Teżby się upił i groziłby, że jak kto trąci jego kochankę, to go trupem położy z tego obreza. Tu jakoś zmętniały mu jego zwykłe marzenia, zwinęły się i przepadły. Jak to ono jest z temi kochankami?

Ogarnął go pierwszy bezwolny niepokój, rozpaliła jakaś ciekawość. A wtenczas co widział w stodole Maksyma z Paraską? Tłoczyły mu się w myśli wszystkie dotąd niepozbierane wrażenia, szepty, jakieś dwunaczniki. Życie nie usiłuje nic kryć przed chłopskiem dzieckiem.

Nie mógł usiedzieć na ławie, gdzieś go gnało. Wybiegł z chaty i zawahał się jak mała mysz po wyjściu z nory.

A tu, na drodze pulchnego, ciepłego piasku Iwan. Danyłko rozdrażniony. Stara się nie patrzeć na Iwana. Ale Iwan jest zelektryzowany nowiną.

Nie rozgaduj. — Stary Łukjan znalazł wczoraj w swoich krzakach zawaloną ziemlankę. A w ziemlance 20 par butów niemieckich. Prawie, że dobre, tylko się trochę rozłażą. Mówią, że to był podziemny skład. Ściany tam z desek, tak jak w chacie, tylko pogniłe.

Prysło. Całe podniecenie przyjemne, ale o którem czuł, że jest złe. Ty, no i co jeszcze znalazł? a karabin? karabina nie znalazł? Ale Iwan zagadkowo poruszył sterczącemi ramionami. Nie wiem. I pobiegł drogą. Tylko nie rozpowiadaj. Choć wiedział, że cała wieś będzie o tem mówiła

*) chwiać się.

Zdzisław Tadeusz Popowski

Drogi za miastem

1.

Odchodzisz w smugach co wieczór — utkana z szumów i wiosny,
do ust twych światła się chylą — róże rzucone w noc.
Stopy unoszą półmrok, w powiewie serce rośnie,
włosów cieniste pęki kładą się mową daleką,
lecz głosu, który cię wiedzie, nie mogą w pieśni zmóc.

Pod miedzą cienie rzucone tulą zdławiony spokój,
ziemia w błękitnej pętli rażona w piersi jak ptak.
Płyniesz srebrzystą strugą, nieznana czarnym obłokom,
na twarz usłaną pragnieniem zarzucasz gwiezdny płaszcz;
Mijając srebrne atole — na piaskach wyciskasz znak.

2.

Nie ująć wiatru, co niesie smutek zgarnięty z pola,
ognie, rzucone przed nocą, zgasły, nim półmrok sichł.
Trudno z nad jezior dalekich twą młodość dzisiaj przywołać,
i prochy gwiazd nieruchomych wcierać w zapadłe oczy,
i głowę męską unosić w soczyste cienie lip.

Patrząc na brzeg porzucony i niebo zapadłe na dno,
wołam zmęczony czekaniem odarte skrzydła wierzb.
Tam była wiosna: śpiew ptaków gałęzie wiotkie ogarniał,
do stawu szły młode kobiety w spódnicach barwnych i boso,
niosąc w zakwitłych piersiach swój pierworodny grzech.

Oczom w spotkaniu nie wytrwać, nie zmierzyć myśli w tych miedzach,
maków czerwony taniec na smutne wzgórza się wdarł.
Idąc po uśmiech zgubiony, własną tęsknotę wyprzedzam,
o gałąź wiatru czerwcową pocieram opadłe włosy,
a stopy niosą przed siebie mojej wędrówki żar.

Ziemio daleka i groźna, większa od klęski mych stóp,
i w ścieżkach rozwiane grzywy kłosów ciężarnych.
Kto ślady moje rozetrze — przymknięte w szczelinach bróźd
i powie, że nic niebyło, prócz krzywdy ludzkich narodzin
i lęku dni tratowanych strzałami armat.

3.

Dymem zorane pagórki, dni pogrzebane w snach,
pieśń porzucona bez sławy na skrzyżowanych drogach.
Powstają groźne noce, cięży powiekom mgła,
prężąc ramiona zuchwałe przeciw idącym cieniom,
unoszę dumę mych lat — nieogarniętą młodość.

Nad horyzontem zmierzch płat fjoletowy rozściela.
Ścieżkami idzie noc na umówione zwołanie.
Do okien otwartych w ciemność nabiega soczysta zieleń,
zadumą dalekich dni owiewia pobladłe czoło
i wciąż rozwija na wargach stygnącą pamięć.

Za miastem dalekie błonia i niebo spięte mgłą,
Umilkły kroki dzieciństwa, wiatr smutkiem oczy wypełnia.
Ze zgliszcz powstają rycerze, białe rumaki mkną,
dni się mijają na kartkach książek ponurych i groźnych
i w skronie martwe uderza ciepło strudzonych rąk.

Nad lasem warkocz zachodu spłókany w ciepłej krwi,
a ziemia ciężka u powiek coraz to groźniej wybucha.
Do wypraw zamknięta droga. Nie wypchniesz żelaznych drzwi.
Horyzont trzeba odmierzać tak samo jak miłość i gniew
i pieśń rzuconą bez żalu na miejsca zapadłe i głuche.

4.

Ciągną po niebie ptaki do porzuconych miast,
na oczy sypie się błękit miękkim popiołem.
Ujmij me ciężkie czoło ty, która zawsze trwasz,
matko, idąca co wieczór od bram miejskiego kościoła.

Gorący strumień lat omiatł dom naszej próby.
Czas już. Nie wstrzymuj. Nie wołaj. Tam czeka inny świat.
Kiedyś powrócę nieznany wspomnienia dawne obudzić
i złożę u twoich kolan zbroję wykutą z gwiazd.

do wieczora. Może bał się, że Danyłko uprzedzi go w powiadomieniu kogoś o takiej nowinie. Ale ani mu to było w głowie. Wrócił na ławę do swoich błyszczących mosiądzem, miedzią i stalą myśli.

Ciągle coś wynajdowali. Z „blindarzy" betonowych ciągnęli cementowe słupy, z podziemnych schronów wielkie budy karbowanej blachy na ziemlanki. Wykorzystywali żelastwo, sprzedawali mosiądz.

Bo ziemia wyrzucała, ziemia pluła.

Krwawiła się przerdzewiałymi odłamkami pocisków, na pastwiskach ziała liszajami nigdy niezarosłymi po garbarniach i warsztatach wojskowych. Krowy chodziły lizać te słone plamy. Wszędzie poniewierały się jakieś szczerniałe skóry, części masek gazowych i taśmy karabinów maszynowych. Na piachu wygrzewały się jeże kolczastych drutów. A kości — końskie, psie, czy ludzkie? Aż zgrzytały pługi, zapychały się brony. Sama półtoramiljonowa armja Brusiłowa wiele rzeczy zdążyła zgubić na stochodzkich polach, nim on ją zgubił w stochodzkich błotach.

Mijały lata, ziemia wciąż się otrząsała, pluła, a ludzie zbierali.

Dla chłopców cóż za rozkosz, jaki kraj skarbów, ile ciągłych emocji! Najpierw łazić za pługiem, jak wrony i zbierać, a potem gdzieś, po zamglonych kartofliskach rzucać w ognisko jesienne całe naboje, niby kasztany. Gilzy z niewystrzelonymi kapiszonami kłaść na kamień i spod stuku rzucanego drugiego kamienia odurzać się miększym, pełnym hukiem eksplozji. Wydłubywać z ziemi ołowiane, okrągłe lotki po rozerwanych kartaczach, niesłusznie zwane „pulemiotowemi", doszukiwać się różnic między nabojami „awstryjskiemi", a „germańskiemi". Wyławiać cenne „włoskie" w ukośnych łódkach. Po stokroć osmalać sobie nos i palce różnymi prochami: to dum-dum—miseczkowatym, to kwadracikami, to żółtemi laseczkami.

Romek pysznił się połową własnoręcznie odgrzebanej szabli kozackiej, Felek Michałoszczak odebrał matce niemiecki hełm, w którym dawała psu jeść i odczyścił, że no.

Łazili po piaszczystych okopach zarosłych dziewanną i innem, suchem, szorstkiem zielem, i po krzakach, gdzie były wyrwy, wiosną pełne skrzeku, a latem,—rdzawego, końskiego szczawiu.

Kłuli ziemię drutami i wyciorami od karabinów i grzebali w wiecznem poszukiwaniu czegoś wspanialszego, lepszego. Z nimi Danyłko, ale nie szczęściło mu się. Albo nie znajdował nic, albo to, czem już inni dawno pogardzili. Chodził za krowami i roił sobie. Z każdem niepowodzeniem rosły jego marzenia. Czy to właśnie dlatego, że mu się nie wiodło, czy też dlatego, że już taki był, tonął bez reszty w swoich fantazjach o odnajdowaniu wojennych skarbów.

Ot, taka jama. Kawałek jakiejś deski widać. Mozoli się, mozoli, żeby odsunąć deskę (to jeszcze wszystko prawda) i.. cóż widzi? nic, piasek; ale zadzierzgnięte marzenie nie pyta, nie rozwiewa się z niepowodzeniem. Widzi—dziura głęboka. Włazi w tę dziurę. Korytarz jakiś podziemny. A w tym korytarzu czego tam niema! (Ten wykrzyknik retoryczny jest niezbędny, żeby mieć czas do zastanowienia się: co tam koniecznie powinnoby być). Więc przedewszystkiem na ziemi leży rewolwer. Trochę zardzewiały, ale to nic. (To ofiara na rzecz bożka, który się nazywa: Prawdopodobieństwo). A dalej przy ścianie, karabiny stoją z bagnetami. Pójdzie potem po chłopców i musztrę im urządzi z karabinami, albo do kaczek będą strzelać. Idzie, idzie, korytarz robi się coraz ciemniejszy, nawet marzenia gubią się w jego głębi. Ale najważniejsze już ma i pozostaje mu jeszcze to zadowolenie, że przecież tyle rzeczy pięknych, a nieoczekiwanych mogłoby tam być.

Pewnego dnia przyjechała komisja z robotnikami i łopatami na dwóch wozach. O nic nie pytali, żeby nie robić sensacji i hajda po polach od mogiłki do mogiłki. Danyłko pasł krowy w krzakach, zobaczył i przyleciał.

Trumny były nawpół zmurszałe. Ludzie? To najlepiej chyba powiedzieć zbutwiali. Jednemu kozakowi papacha obkleiła czaszkę baraniemi kudełkami, że wyglądały, jak własne. Wgłąb klatki piersiowej przy poruszeniu zapadały się guziki i medaliki święte.

Wszystko to wyglądało przedewszystkiem na zależałe w spokoju. Żaden nie miał na nogach butów. Robotnicy pracowali i żartowali, sprawiając sobie niewytłumaczoną przykrość powiedzeniami, po których mimo to następowały wybuchy śmiechu.

A Danyłko taki był cały żywy, chcący i czujący.

Tak patrzył, wypatrywał, czy bodaj który nie jest przy szabli. I coby oni, ci panowie z komisji, kazali zrobić z taką szablą.

— — — — — — — — — — — —

No i był szczęśliwy. Zahaczył niewodem swoich rojeń o twardą rzeczywistość. To coś rzeczywiste nie było wprawdzie żadną z wymarzonych rzeczy (jak to zwykle), ale było napewno od nich nadzwyczajniejsze. Dla Danyłki nadzwyczajność ta, prostej była natury: żaden z chłopaków jeszcze tego nie znalazł, ani nawet nie widział, choć tyle o tem mówili. A jakie skarby prochowe, a może i inne, musiał posiadać w sobie ten niewybuchły pocisk!

Był duży, obły, z mosiężnym czopem, na którym były cyferki i z dwiema obręczami miedzianemi, pokarbowanemi od wystrzału. Wiedział, że jak wystrzelą z armaty z takiego, to on pada, rozrywa się i robi straszną jamę. Widział czopy i czerepy po rozerwanych „snaradach". No, a ten nie wybuchł. Można go rozkręcić i wybrać z niego to wszystko, co jest w nim takie ciężkie. I to już dla Danyłki nie było dziwne. Ot: będą teraz strzelali nie tak jak z butelek. Zato stało się dziwne dla mnie. I stało się tak dziwne, że oto puszczam fantazję samopas, wychodzę nieprzyzwoicie z opowiadania sensacyjną, nieprawdopodobną dygresją. Nie powstrzymają mnie wasze zdumione, zawiedzione i niedowierzające oczy.

W maju tysiąc dziewięćset trzynastego Wolfang Berger, starszy pirotechnik dostał podwyżkę i kompletnego bzika na tym punkcie, że zdradza go kochanka. Truł się i truł, szpiegował, starał się zaskoczyć pytaniami i rozmyślał w fabryce, skręcając zapalniki do stopiątki.

Nie myślał o tem, że bywa teraz czasem bardziej roztargniony, niż można i nic mu nie było do tego, że wojna wybuchnie za rok, że powędrują jego zapalniki, w pociskach, pociski w jaszczach, a jaszcze w wyboistej poniewierce.

Ani wiedział o tem, że w wilgotnych okopach nad Stochodem, czyhać będzie przygasłemi oczami na własną śmierć podporucznik Timofiej Zubow — morfinista.

Nie wiedział o tem, nawet wtenczas, kiedy już wybuchła wojna, a jego kochanka, która go nigdy nie zdradziła, umarła na raka.

Ppor. piechoty Timofiej Zubow nie wiedział o niczem, bo on tylko czekał. Morfiny nie było. Samobójstwo — wstyd, więc czekał.

I rozjarzyły mu się oczy, jak pod wpływem podwójnej dawki, gdy zachichotał pocisk Wolfanga Bergera.

Pocisk trzepnął bokiem w pagórek, odbił się, jak puszczona po wodzie płaskim kamykiem „kaczka", lekko już stuknął w jakąś grudę czopem, podtoczył się jeszcze bliżej.. i przygasły oczy Timofieja Zubowa — morfinisty, a bardzo mu było gorzko uśmiechać się.

Był pasiasto jaskrawy zachód, gdy brał się do roboty, w wielkim przed wszystkimi sekrecie. Chciał dokonać wszystkiego sam. A potem dać chłopcom te kulki i to co tam jest. Na co mu to? I tak on pierwszy znalazł.

Na horyzoncie dalała błękitną, zamgloną stalą piła Kucharskiego lasu.

Powiew z ziemi szedł ciepły, trawiasty, jak oddech krowi.

Danyłko wyciągnął dłutko i młotek.

„Szob tolko nie rozorwało"**) powiedział zapobiegawczo i ruszył z miejsca żelaznego prosiaka. Pod pociskiem było wyleżałe gniazdo; trochę przyrdzewiała ziemia wklęsła równiutko. Mrówki w nim się zaroiły. Były zaskoczone tem niespodziewanem podniesieniem dachu. Pośpiesznie zabierały swoje wielkie, białe larwy i uciekały gdzieś głębiej w ziemię, czy też tylko w trawę.

A Danyłko już wziął się do roboty. Wsadził dłutko w szczelinę między czopem a łuską i zaczął lekko stukać.

I lekko stukało mu serce.

W tej chwili była jeszcze trawa wilgotna i miękka, śpiewały ptaki.

Danyłko znalazł...

Bardzo płakała matka, pop pijanica się złościł, bo przecież o żadnym pogrzebie mowy być nie mogło.

**) Aby tylko nie rozerwało.

Edmund Lipecki

Przypatrzmy Mu się bez obsłonek

Był taki człowiek, który bił siebie młotkiem po głowie, a gdy go zapytano dlaczego tak czyni, odpowiedział, że poto aby mu było przyjemnie kiedy się tłuc przestanie.

Zmyślna to była przyjemność i bardzo skomplikowana w skutkach i ma jeszcze tę zaletę, że można w sobie zatłuc matołka. Jest to osobnik lubiący oblizywać się po obfitem jedzeniu i piciu, chrapać podczas drzemki, śmiać się do sera i starej żydówki, a płakać na widok krzywych obcasów.

Lublin chlubi się lśniącą w herbie postacią kozła.

Gdybyśmy jednak chcieli upersonifikować Lublin kulturalny, to obawiam się, że podobny byłby on raczej do koziołka i to takiego, który się bije po głowie młotkiem...

Zmyślne przyjemności kulturalne..

Przyjrzyjmy się im zbliska.

Co za popyt i zrozumienie, co za frekwencja? Ileż uznania i entuzjazmu dla rodzimej kultury? Wspaniała ocena. A ile dumy regjonalnej...?

Wystawa obrazów lubelskich malarzy. Trwała 2 tygodnie, zwiedziło ją 150 osób, w tem trzy szkoły. W prasie ukazała się notatka w kronice... wypadków. I na tem koniec.

Tymczasem imię jednego z malarzy, łącznie z ostatnią wystawą w innych dzielnicach Polski jest wymawiane z uznaniem, z pochwałą, ba nawet zyskuje miano b. uzdolnionego artysty, otrzymuje przychylne recenzje i t. d.

Teatr. Naturalnie wołyński promieniuje swoją świetną kulturą dramatyczną na nasz Lublin, aby przecież i dla niego coś zrobić, aby odrzwia gmachu teatralnego nie stały się malowanemi wrotami, że przecież istnieje poza tem i scena, i sztuka dramatyczna i kulturalna rozrywka. Dalibóg istnieje!

To też Lublin powoli przyzwyczaja się do tego, narazie kilka razy na miesiąc.

Prasa i literatura.

W tej dziedzinie mamy kapitalny dorobek. Jeden pełny dziennik i trzy darowane nam na sensacje lubelską (rabunek, morderstwa, kradzieże, oszustwa, rozprawy sądowe i ogłoszenia) przez pisma warszawskie i łódzkie. Poziom pism sam mówi za siebie, ale i czytelnik, który nie żąda innego jest najlepszym miernikiem kultury regjonalnej. Do licha wołajmy nareszcie wielkim głosem o szacunek dla wybredniejszych mózgów, o przyzwoitość wobec inteligencji, o wyroby wartościowe i odpowiednie dla miasta, które posiada własny uniwersytet, własną kuźnię nauki i wykształcenia. Czy długo jeszcze będziemy się obracali w sferze plotek, sensacyj i bałaganu prasowego?

A nasza literatura rodzima.

Mamy ją i to mamy silną, zdrową, młodzieńczą i pełną niezaprzeczonych wartości i literackich i regjonalnych. Mamy swój dorobek lubelszczyzny własny, nasz. Ale nie dla siebie. Lublinowi on jest niepotrzebny. Zbytek, przesąd.

O poetach naszych może mówić, mówi i ocenia Kraków, Warszawa, daje im należne miejsce w literaturze.

A któż w Lublinie interesuje się Czechowiczem, Madejem, Łobodowskim, Arnsztajnową, ś. p. Michalskim, kogo obchodzi cała pl jada młodych zdolnych piór, budzących się talentów. kto zajął się kiedykolwiek Kameną (chełmską), Dźwigarami, Nurtami...

Dużo osób, dużo... ale nie z Lublina. Poetów lubelskich zabierają stąd — (Czechowicz), sami gdy mogą uchodzą. bo się czują tu niepotrzebni, zbyteczni, niezrozumiani, często ośmieszeni.

Czyż stosunek ten nie jest również miarą kultury?

Uniwersytet. Szczęśliwy Lublinie, który posiadasz szóstą w Polsce wyższą uczelnię czyż nie napawa cię to dumą, że z twych murów wychodzą zastępy ludzi wykształconych mądrych i uczonych?

Szczęśliwy Lublin nie ma tej dumy. Szczęśliwy Lublin w swej częściowej opinji publicznej wyraża się o swej uczelni w sposób, który nie licuje z godnością prawdziwego Lublinianina.

Dość! Dość mamy takiej opinji szczęśliwego Lublina, wraz z jego towarzystwem adoracji własnego brzucha i kinowych rewji. Niech się zakrztuszą wstydem, gdy im bielmo z oczu zejdzie!

Nasza Alma Mater, jest prawdziwą uczelnią, jest przybytkiem skąd czerpiemy światło nauki i stopnie naukowe, jest źródłem wiedzy, której w Polsce jest jeszcze b. mało, jest świątynią mądrości której należy się szacunek! I tego żądamy od wszystkich, którzy noszą miano człowieka kulturalnego.

Jesteśmy szóstem miastem w Polsce, które sieje oświatę na ugorach Rzeczpospolitej i to napawa nas słuszną dumą.

A cóż jeszcze posiada Lublin? Wspaniałą i b. stara przeszłość historyczną, dużo zabytków b. cennych wyrosłych na tle tej historji. Posiada stare miasto. Dzisiaj jest to stek brudów, opuszczenia i zaniedbania, bo za Krakowska Bramę wstyd jest chodzić, bo to jest dzielnica, którą obawia się poznać człowiek kulturalny. A czyż nie byłoby słusznem odnowić, odczyścić i odświeżyć tę doprawdy ciekawą przeszłość Lublina. Turystyka lubelska z odrazą oprowadza zwiedzających stare miasto.

Nie władze miejskie, ale społeczeństwo ponosi winę zaniedbania historycznego Lublina.

Ogólną psychozą Lublinian rządzi marazm, brak ambicji, oportunizm dnia powszedniego. „Lublin to dziura, prowincja nic w nim niema" oto ciągła śpiewka jego obywateli i właśnie dlatego Lublin staje się... dziurą.

Jeżeli nie ockniemy się, jeżeli nie spojrzymy okiem przyjaznem na nasze mury i życie, jak patrzą Wilnianie, Poznańczycy, Lwowianie czy Krakowianie na swe miasto, jeżeli nie obudzimy w sobie regjonalnej dumy o wartościach i to niewątpliwych, wówczas pogrążymy się w letargu, po którym obudzimy się jako ostatnie miasto w Polsce.

Redakcja „Odskoczni" stawia sobie jako jeden z celów pobudzić w społeczeństwie miejscowym poczucie wartości naszego miasta, konsekwentnie wskazywać, ujawniać i obrazować dorobek kultury, sztuki i literatury lubelszczyzny, wpajać dumę regjonalną, wywalczać należne miejsce lubelszczyźnie w wielkiej rodzinie narodu polskiego.

Może Lublin wyszuka sobie jednak większą przyjemność niż zaprzestanie bicia się młotkiem po głowie...

Marjan Ekielski

Podzwrotnikowa podróż

PRZEDMOWA.

Pragnąc przedstawić prawdziwe piękno polskiej prozy podaję poniżej pewną przedziwną powiastkę posiadającą pięćset pięćdziesiąt pięć początkowych „p“ (plus przedmowa). Proszę powoli przeczytać, podkreślając przytem pokolei poszczególne „p“ — po przeczytaniu przeliczyć. Przypominając powód powstania powyższej pracy proszę przebaczyć pewne punkty powiastki posiadające pojęcia przekraczające prawdopodobieństwo.

Pod palącemi promieniami południa płynęły powoli przez puszczę pirogi pod przewodnictwem Piotra Parkera. Parne powietrze przesycał piaszczysty pył przywiany przez podniebne prądy powietrzne. Pragnienie paliło pozasychane podniebienia przemęczonych podróżników. Ponad połyskliwą powierzchnią przefruwały ptaki pokryte pięknemi, puszystemi piórami. Płochliwie przelatywały pomiędzy pobliskie pióropusze pochylonych palm.

Pirogi powolnie posuwane prądem płynęły pośród przelicznych, powalonych, przeważnie poprochniałych pni. Przybrzeżne połacie pokrywały pożółkłe porosty popprzepalane panującą posuchą. Przebrnęli przez puszczę; przejeżdżali przez prerję... Pręgowane pantery, przestraszone pluskiem, pierzchały przezornie pomiędzy pampasy. Przytłaczająca pustka, potem porozrzucane piaszczyste pola, poprzerzynane płytkiemi parowami, przepowiadały pobliską pustynię.

Przewodnik — Piotr Parker — powtórnie perswadował panu Perry'emu:

— Powiadam panu, powinniśmy przystanąć popołudniu ponieważ przeczuwam po parnem powietrzu pioruny. Po parogodzinnym, przymusowym postoju popłyniemy po północy podczas pięknej pogody. Perry popatrzał po przewoźnikach, poczem prędko powiedział:

— Podwójną płacę pobiorą przewoźnicy. Postanowiłem przed porankiem przypłynąć pod Palmerston. Płynąć pełną parą!...

Parker, podciągnąwszy pasa, podniósł powoli prawicę, powtarzając przytem posępnie przewoźnikom pańskie polecenie. Posłuchali... Podnieceni przyobiecaną podwyżką — podwoili pracę. Po przygarbionych plecach płynie potokami perlisty pot. Pluskot potężnieje; pryskają poszarpane płaty piany. Piersi płynących prędko piróg przerzynają przejrzystą powierzchnię, pozostawiając pośrodku podłużne pasma pokłębionej piany. Porwani prądem pomknęli przemijąc przeróżne przeszkody.. Przebrnęli przez prerję, przepłynęli płaskowyż. Pozostało przebyć pustynne pola pokryte poschniętemi, pokarłowaciałemi porostami, przeważnie pozaorywanemi przy przybrzeżu prymitywnemi pługami. Perry posilony podwieczorkiem przeglądał podniszczony plan podklejony pergaminowym papierem. Pochylony, posuwał palcem po planie, pokazując Parkerowi przebytą przestrzeń.

— Patrzcie Piotrze, przepłynęliśmy przeszło połowę—powiedział—powinniśmy pomyślnie przybyć pod Palmerston, prawda?

Parker powątpiewająco przejrzał plan, powtarzając poprzednie perswazje. Perry pragnąc prezentem pozyskać przekornego przewodnika podsunął Piotrowi papierośnicę. Parker przyjął podanego papierosa. Przepaliwszy — pociągnął parokrotnie.

— Prawdziwa przyjemność palić podczas podróży porządnego papierosa — pochwalił pompatycznie.

Perry poufale poklepał pochlebcę po plecach, poczem — przykrywszy płócienną płachtą porządnie poukładane pakunki — pierwszy przerwał.

— Panie Parker, powiedz pan prawdę poco pragniecie powstrzymać podróż?..

Przewodnik przemilczał pytanie. Patrzał ponuro po pustkowiu przygryzając paznokcie (Parker posiadał paskudne przyzwyczajenie przygryzania paznokci). Pewne podejrzenia poczęły podświadomie prześladować Perry'ego. Przeczuwając podstęp, postanowił przekupić Parkera. Począł przeglądać przegródki portfela, przeliczając pieniądze.

— Powiedzcie prawdę — powtórzył, podając przytem parę papierków. Pod przymrużonemi powiekami Piotra płonęły płomyki pożądliwości. Początkowo postanowił przezwyciężyć pokusę. Pomimo pozornej powściągliwości przyjął propozycję Perry'ego. Przynęta poskutkowała. Przejrzawszy podejrzliwie, przeliczył podane pieniądze; przysunąwszy próżną paczkę — przysiadł. Półgłosem począł prawić:

— Przedwczoraj, przed podróżą, podczas pakowania przyszykowanych przedtem pakunków, podszedł pod przystań pewien poważny pan, paradnie przytrzymując pod pachą prostą pałeczkę. Przystanąwszy, pokazywał palcem przeładowane pirogi, pytając przechodzących podówczas przewoźników, poco pojedziemy pod Palmerston? Przywołany przez pewnego przewoźnika (przezywanego powszechnie Paulem), podszedłem. Przybysz powtórzył pytanie. Poinformowany, powiedział pocichu poco pytał. Pragnął poprostu pierwszy przetransportować produkty, podobne przewożonym przez pana. Ponieważ powinien przedtem przeprowadzić pewne pertraktacje, postanowił przeto powstrzymać pański przejazd. Przyobiecawszy podarować pokaźną premję, polecił przeprowadzić pomysłowo przemyślany plan. Ponieważ potrzebuję przedewszystkiem pieniędzy — przystałem. Potem pojąłem podłość podobnego postępowania... Przepraszam pana, panie Perry—powiedział pochylony pokornie przed pracodawcą.

Pamiętajcie Piotrze, pierwej potrzeba pomyśleć — potem postępować — powiedział Perry po pauzie. — Przyrzekacie porzucić podobnie plamiące praktyki, podważające podstawowe przepisy prawne?...

— Przyrzekam... Przyszłość pokaże — potwierdził Parker, poruszony prawdziwie przyjacielskiem potraktowaniem przez Perry'ego.

Po przesłuchaniu Piotra, Perry przynaglił przewoźników. Pirogi pomknęły podwojonym pędem... Po poszarzałych piachach pustyni począł pełzać pierwszy półmrok...

HELENA PLATTA

Głód

W bezgwiezdną idę noc.
Stukotem butów na asfalcie
pustkę rozbijam w miałki proch.

Wszak jestem tłumu podżegaczem,
bunt we mnie wre, wybuchnąć skory,
i wiecznotlący niosę lont.
Gorzko na szosie gryźć kamienie
i mokrą z potu chylić twarz...
Ja słońce w palenisko zmienię
i będę karmić swe bachory
polewką, gotowaną z gwiazd.

Idę przez miasto i przez świat
i niosę dwie olbrzymie pięści,
aż dzwoni bruk, aż gleba chrzęści,
po mojej drodze — ciężki ślad,
Usta mam pełne błota i grudy
i wszystkich piwnic zgniły dech.
Umiem do zbrodni pchnąć i cudu —
ja jestem jeden wielki grzech.

Stukotem butów na asfalcie
rozbijam pustkę w miałki pył —
szukam ochłapów do pożarcia
i krwi, płynącej prosto z żył.

O potrzebie wykształcenia prawniczego

Jest rzeczą znaną powszechnie, z czem zresztą i w naszem małem społeczeństwie lubelskiej młodzieży akademickiej stale się stykamy, że największem powodzeniem cieszy się Wydział Prawa, gdzie corocznie zapisuje się na słuchaczy 80% młodzieży. Dzieje to się zgodnie z popularnym, mylnym kierunkiem myślenia, że na prawie można cały rok nic nie robić, tylko bawić się lub wałęsać, a potem w ciągu kilku tygodni „odwalić“ całoroczny materjał i mniej lub więcej chlubnie zdać na rok następny — i tak, aż do dyplomu.

Przyjął się u nas powszechnie pogląd, że ten, kto skończył studja prawa i uzyskał dyplom, musi koniecznie i to odrazu otrzymać posadę — i niejeden z młodych „jurystów“ ma żal do instytucji, która jego podanie odrzuciła. Czy słusznie jednak?

Dyplom prawa (jak zresztą każdy inny), nie jest celem sam w sobie. Życie obecnych społeczeństw jest tak uregulowane i ujęte w ramy prawne, że każda nasza czynność wymaga znajomości szeregu przepisów prawnych, choćby to była jazda autobusem, przejście przez ulicę, czy wysłanie listu. To też człowiek, który ukończył prawo, uczy się logicznie patrzeć na życie, bo jego wykształcenie daje mu możność oceny tego wszystkiego, z czem się styka na każdym kroku.

Wynikałoby stąd, że prawo należy właściwie studjować, jako wiedzę, równą np. czytaniu i pisaniu. O wiele mniej kłopotów i procesów byłoby na porządku dziennym, gdyby ludzie lepiej znali zasady, które tworzy się nie dla krępowania obywateli, a przeciwnie — dla ułatwienia współżycia. A przecież, wbrew tej, napozór słusznej zasadzie, młodzież (jak również i rodzice) patrzą na tę sprawę zgoła inaczej, uważając, jak wyżej wspomniałem, że dyplom prawa powinien sam przez się zapewnić pracę i dochód, że ma być czemś w rodzaju narzędzia pracy, którą muszą dostać dlatego, że mają ukończone prawo.

Ale co najdziwniejsze, jakby owczym pędem wiedziona, większość tych panów chce się koniecznie dostac gdzieś do biur, urzędów, na ważne stanowiska pp. referendarzy, koncypjentów, lub innych gryzipiórków. I z tą chwilą taki pan zapomina przeważnie, że studjował prawo, a tylko rękoma i nogami trzyma się swojej posadki. Nie ma już mowy, oczywiście, o pogłębieniu i rozszerzeniu studjów, bo praca zawodowa na to nie pozwala.

Nasz prawnik uważałby się za poniżonego, gdyby mu przyszło np. założyć sklep, czy też innego rodzaju przedsiębiorstwo, bo on przecież ma dyplom! Jakże inaczej przedstawia się to samo zagadnienie w innych krajach europejskich, gdzie bardzo często spotykamy rolników, kupców, czy przemysłowców, z dyplomem prawa, a żaden z nich nie powie, że „prawo mu nic nie dało“.

Przeciwnie — jeśli dało, to napewno bardzo dużo. U nas natomiast odnosi się wrażenie, jakbyśmy nie czuli się na siłach do samodzielnej pracy, chętniej zaś, czy to wskutek lenistwa, czy znanej słowiańskiej bierności, w którąśmy uwierzyli, rzucamy się na posady. Nic też dziwnego, że tworzy się ogromny aparat biurokracji, gdzie często dla faworytów trzeba wymyślać posady i zajęcia, bo gotowych niema, podczas gdy inne dziedziny życia polskiego leżą odłogiem i naturalnym biegiem rzeczy opanują je żywioły bardziej aktywne od nas i bardziej przedsiębiorcze; a potem mówi się: „polska“ dyplomacja, „polska“ palestra, „polski“ przemysł, „polski“ handel... I to nam urabia opinję na świecie...

Bezwarunkowo—w obecnych stosunkach jest rzeczą konieczną, by pewna część prawników pracowała w biurach, ale jest to tylko mały odcinek życia, który jeśli jest tak pożądany, to głównie dlatego, że stwarza najłatwiejsze warunki pracy, a dochodzi się doń po linji najmniejszego oporu. Prawnicy są wszędzie potrzebni: w bankowości, przedsiębiorstwach przemysłowych, handlowych, spółdzielczości, ale nie mogą i nie powinni stawać się gryzipiórkami, którzy oczekują „na pierwszego“, aby podjąć coraz bardziej obcinaną pensję, a potem, w razie „oszczędnościowej“ redukcji, tułać się z załamanemi rękami.

Musimy patrzeć dalej poza zasięg swego nosa, trzeba bowiem liczyć się nietylko z tem „co ja będę z tego miał“, ale i co inni będą ze mnie mieli, czy potrafię być pożytecznym członkiem społeczeństwa, czy też pasożytem, który oderwany od swojej podpory, ginie marnie i bezużytecznie. Prawo daje możność pracy samodzielnej i ciągłego kształcenia się, a nie zasklepienia w rutynie i jednostronności. Kto nie pracuje w tym kierunku, minął się z celem i przez czas studjów zajmował niepotrzebnie miejsce dziesiątkom innych, bardziej odpowiednich. To też młody adept wiedzy prawniczej powinien się dobrze zastanowić, na co właściwie przyda mu się ten dyplom, który prędzej, czy później uzyska i czy jest celową rzeczą wybrać właśnie prawo, a nie inne studjum.

JÓZEF SERAFIN

Ach, te „chamy“ w Ameryce!

(Refleksje na tle ostatnio wydanej książki Gąsiorowskiego).

W kłopotach życia, w ciągłej walce o byt, zapominamy o wielu rzeczach drogich i świętych, dla których kiedyś nasi ojcowie nietylko swe mienie, ale i życie oddawali. My troszczymy się dziś przedewszystkiem o to, aby zająć jaknajlepsze, jaknajpewniejsze miejsce na płaszczyźnie oportunizmu; nasza najwyższa zasada brzmi: „Ja dla siebie samego“.

Gąsiorowski chce nas obudzić, chce, byśmy porzucili ten egoistyczny pogląd, byśmy stworzyli sobie ideologję dla naprawy naszych błędów. Książka jego ma być tylko źródłem skrystalizowania tej ideologji; dlatego nie znajdziemy tu ani programu działania, ani jasnej konstrukcji zasad, natomiast masę faktów i tez, z których trzeba sobie dopiero utworzyć podstawy tej ideologji.

Jak można by stąd wnosić, autorowi chodzi raczej o stworzenie ideologji w czynie. Teza ta, jakkolwiek logicznie może być kwestjonowana, praktycznie jest możliwa, a nawet pożyteczna, jak na to wskazuje przykład Włoch faszystowskich. Oczywiście, przystępując do tworzenia takiej ideologji w czynie, musimy mieć już pewne najogólniejsze założenia.

Gąsiorowski wciąż wzywa do działania, zachęca do czynu, aby skończyć raz nazawsze z tępym biurokratyzmem, który rosnąc z dnia na dzień, stanowi hamulec życia Narodu. Autor nie stara się uzasadniać, dlaczego biurokratyzm jest zły, w czem się najbardziej przejawia, jak go należy zwalczyć — a stwierdza, że istnieje, że jest szkodliwy i że należy go zlikwidować.

Bohaterem jest „cham amerykański“, ten co bosy, nędzny, analfabeta wychodził z kraju, ale z jakiem uczuciem ukochania ziemi ojczystej i Przenajświętszej Panienki w sercu, z jaką niezłomną wolą wytrwania „w równości, która tkwi na wyzynach, kędy źródła swe srebrzyste rozpościerają warkocze, które znaczy przedewszystkiem nie pełzanie“.

Treścią całej książki jest właściwie historja polskiej emigracji w Ameryce: omawiając życie naszych emigrantów, autor musi cofnąć się do samej Ojczyzny i opisać ją tak, jak ona wygląda w oczach Jędrzejów Czykagowskich, wytknąć te wady, które oni z za oceanu wytykają, a które ich samych boleśnie ranią.

Charakterystyczny jest ostatni rozdział; stanowi on poniekąd syntezę całości, tak pod względem treści, jak i formy; mamy w nim program stosunku Polski—Macierzy do emigracji. Rozdział ten jest napozór równie lekko potraktowany, jak cała książka, a sam autor się zastrzega:

„Jeśli nie zrozumiecie moich założeń, to weźcie je za żartobliwe bajdurzenie, czytane dla zabicia czasu“. Ale niema obawy, żeby czytelnik odniósł takie wrażenie z tego żartobliwie zatytułowanego rozdziału: „Klituś—Bajduś“. Właśnie tu Gąsiorowski uderza najsilniej w struny uczucia i to w struny tragizmu, napięte do maximum: jedynem wytchnieniem, jedyną ulgą, jest tylko owe „klituś — bajduś“, ów uśmiech przez łzy.

Dwie są uzasadnione przyczyny obawy: to, że w Polsce źle się dzieje i że ginie dla Macierzy 5-miljonowa emigracja za oceanem, czwarta dzielnica Polski odrodzonej, pozbawiona dopływu nowych sił.

„Kiedy piła się szczerzy u podnóża dębu, nie trzeba Kassandry. Dąb podcięty runie, runie młody, zdrowy, silny dąb!“ Gdy coś nam zagraża, wolimy schować głowę w piasek: czy nie lepiej jednak byłoby zdać sobie jasno sprawę ze szczerzącej zęby piły i usunąć ją raz na zawsze?

Z powyższej syntezy nietrudno zrozumieć zasady Gąsiorowskiego odnośnie stosunku do emigracji.

Przez umocnienie własnej potęgi, spełnimy najgorętsze życzenie naszych rodaków na obczyźnie i będziemy musieli starać się złączyć jaknajściślej losy czwartej dzielnicy z losami Macierzy. A wówczas możemy być spokojni o przyszłość tej rzeszy emigranckiej naszego narodu. A oni, ci rodacy dalecy, wsparci potęgą Polski, pójdą drogą, którą im wskazał szlachetny rdzenny Amerykanin:

„Macie obowiązek zachować tradycje Waszego polskiego pochodzenia,—z ukochania mowy Waszych ojców, ze skarbnic Waszych zdobyczy kulturalnych winniście czerpać i wzbogacać nasz amerykański dorobek. Ta nasza ziemia potrzebuje polskiego idealizmu, tych wzorów miłości Ojczyzny, którą święcili zawsze Wasi przodkowie. Bądźcie Amerykanami, ale bądźcie dumni z tego, że w Waszych żyłach polska krąży krew“.

RYSZARD ZDZIARSKI.

Rudyard Kipling umarł

W dniu 18 b. m., zmarł znakomity pisarz angielski, znany piewca ziemi brytyjskiej— Rudyard Kipling, przeżywszy 70 lat.

*

Rudyard Kipling urodził się 30 grudnia 1865 r. w Bombaju. Lata dziecinne spędza w tej egzotycznej części świata, która na młodą i wrażliwą duszę działa bardzo silnie, dając mu później wiele niezatartych wrażeń! Tu też kończy Rudyard szkołę elementarną i wyjeżdża na studja uniwersyteckie do Londynu, zwiedzając po drodze inne kontynenty. Podróże budzą w nim zapał do poznania tajemniczych nieznanych krajów to też Kipling opuszcza Londyn. Zwiedza Amerykę Północną i Południową, później przebywa przez dłuższy czas w Bombaju i nasycony poznaniem świata wraca do Anglji, gdzie pozostaje do śmierci.

— Jeśli chodzi o twórczość Kiplinga to posiada ona różny charakter. Obok nowel, powieści, opowiadań dla dzieci spotykamy dzieła o treści wojskowo-politycznej, oraz utwory poezji lirycznej.—Debiutuje w roku 1884 książkę p. t. „Echoes". Jednakże występ ten nie uzyskał aplauzu w świecie literackim. Dopiero z chwilą ukazania się dłuższej powieści p. t. „Światło które zgasło" Kipling wchodzi pełnym marszem do literatury. Powstają nowe utwory, które wchodzą na listę nieśmiertelnych świata. Dwie „Księgi Dżungli", „Kim" oto piękna pieśń na cześć drugiej ojczyzny, w której się poeta urodził i wciąż do niej tęsknił.

— W roku 1907 za swą wybitną twórczość poetycką został Kipling odznaczony nagrodą Nobla. Pozatem był doktorem honoris causa kilku uniwersytetów angielskich i zagranicznych.

Zet.

Z SALI KONCERTOWEJ

W czwartek 19 grudnia ubiegłego roku odbył się w Lublinie w sali Towarzystwa Muzycznego koncert symfoniczny, poświęcony twórczości Franciszka Schuberta. Koncert dzielił się na trzy części. Pierwsza została wypełniona przez połączone orkiestry Tow. Muz. i 8 p. p. Leg. pod dyrekcją kap. Lucjana Ksionka, w interpretacji którego usłyszeliśmy muzykę z op. „Rozamunda" i „Divertissement". Niestety p. Ksionek nie umiał wydobyć z „Divertissement" piękna i lekkości motywów węgierskich i przez to początek wieczoru wypadł bezbarwnie, a nawet znudził słuchaczy. W drugiej części koncertu śpiewała znana na terenie lubelskim artystka, p. Janina Kelles-Krauze. Śpiew jej cechowała inteligencja i głęboka kultura muzyczna, która przy jej walorach głosowych dała prawdziwą ucztę miłośnikom wokalnej muzyki. Pisząc o pieśniach Schuberta, nie można nie wspomnieć o ich charakterystycznym rysie, który zresztą dał się zauważyć i podczas śpiewu p. Kelles-Krauze. Pieśni te muszą być śpiewane po niemiecku. Są one ściśle zespolone z wymową niemiecką, która z natury szorstka i twarda dla ucha cudzoziemca, nabiera u Schuberta dziwnego uroku i miękkości. P. Kelles-Krauze dwa pierwsze utwory odśpiewała po polsku (drugi „Tułacz" w swoim własnym, bardzo dobrym przekładzie), resztę po niemiecku. I otóż pieśni wykonane w języku obcym wywarły o wiele większe wrażenie nawet na słuchaczach nie znających języka niemieckiego.

Ostatnia część koncertu budziła, prawdopodobnie dzięki reklamie filmowej, największe zainteresowanie: — „Niedokończona symfonja" (H-mol), orkiestra pod batutą dyrektora Eugenjusza Dziewulskiego. Ja, po wykonanym ostatnio przez p. Dziewulskiego, pełnym tanich sztuczek efekciarskich—„Stepie" (Noskowskiego), byłem nastrojony pesymistycznie. Spotkała mnie miła niespodzianka. Pan Dziewulski prowadził orkiestrę bardziej umiarkowanie i z większym smakiem, niż na poprzednich koncertach. Mimo pewnych niedociągnięć i usterek technicznych ze strony orkiestry, czy też dyrygenta (np. za słabe podłożenie tła smyczkowego pod solo obojowe w pierwszej części symfonji), całość wypadła na poziomie, a nawet, biorąc pod uwagę stosunki lubelskie, zupełnie dobrze.

Kończąc, chciałbym zachęcić wszystkie szanowne Koleżanki i wszystkich szanownych Kolegów do jaknajliczniejszego uczęszczania na koncerty. Pan dyrektor Dziewulski, stwarzając stałą orkiestrę symfoniczną i organizując koncerty, rzucił hasło obudzenia ruchu muzycznego w Lublinie. Dopomóżmy mu w tej pracy, która przecież harmonizuje z naszemi dążeniami.

BR. LIGÓRSKI.

Spleśniały Ananas

Od dłuższego czasu bawił w Lublinie zespół rewjowy warszawskiego teatrzyku „Ananas", dając swe występy w kinie „Corso".

Dawno już nie mieliśmy okazji gościć w naszym mieście tak wyjątkowego okazu, jakim jest ów ananasowy zespół aktorski.

Grupa ludzi z zapasem tupetu i otrzaskana ze sceniczną deską, wybrała się na podbój artystyczny prowincji. Zamierza olśnić i zachwycić społeczeństwo przepychem swej aktorskiej skali. W ślad za tem idzie rzekomo tradycja „Ananasu".

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zadziwiające ubóstwo poczucia artystycznego u kierowników całej rewji. Okaz, poprostu okaz!

Niezły zresztą aktor p. Czermański, nie spodziewa się sam, ile traci na tle swego zespołu.

Pozatem odrębną zupełnie klasę stanowi grupa Wyględowskich, którzy poza względną wartością choreograficzną mają wybitne zdolności akrobacyjne.

A reszta, to jest doprawdy reszta. Pani Talarico miała ongiś głos. Pani Próchniewska nigdy go nie miała i mieć nie będzie. Prócz tego obok względnie eleganckiej sukni trzeba mieć dystynkcję pieśniarską. Składanie i rozkładanie rąk to doprawdy gest mocno beznadziejny.

Odgrywane rólki Agnieszki z Powiśla nie robią wrażenia granych.

Jedna z nowoprzybyłych aktorek zespołu usiłowała śpiewać djablicę. Niezaprzeczonym walorem jej była udrapowana suknia, bo o posągowości trudno cokolwiek powiedzieć. Radzimy wystawiać manekina, suknia jest dobra.

Pan Popławski popisuje się szmoncesami w sposób kokieteryjny — wszelka starozakonna publiczność rechocze i bije brawo. Jedynym, ale tym razem świetnym przebłyskiem jest rola Antka z Karcelaka. Niepotrzebne są tylko drastyczne sceny w polecze.

Zjawiło się też ostatnio dwuch nowych śpiewaków: p. Lasocki tenor i p. Morawski baryton.

Fraki mają obaj bez zarzutu. To jest wielka zaleta dobrego.. krawca. Dopatrzmy się jednak zalet i pp. śpiewaków. Baryton, przytupując w takt foxtrota, tańczy po scenie slow-foxa, a śpiewa.. szkoda, że niema tej odwagi, co p. Czermański, mówiący o najprawdziwszej astmie.

Tenor jest cały czas w kolizji z orkiestrą. Do głosu trzeba mieć nieco lepszy słuch, jeżeli się ma głos, a gdy się głosu niema to i słuch niepotrzebny.

Każdy program rozpoczyna się skeczem, a każdy skecz erotomanją. Cały czas na scenie rozgrywa się akcja, oparta na steku bzdurstw erotycznych o tak nieestetycznym i niesmacznym doborze, że aż zastanawiam się, dlaczego władze nie wnikną w to w imię moralności.

A kino „Corso" robi kasę i odnosi sukcesy. Publiczność znajduje te „występy" ciekawemi i godnemi zobaczenia.

Aż dziw ogarnia, że Lublinowi imponuje mocno wyszargany, lub nieszargający się wcale głos, czy też histeryczne wyczyny zdradzającej żony, warjata męża i jakiegoś trzeciego bubka w skeczu.

Zasługi Zarządu „Corsa" są niewątpliwe w kierunku zmiany przybytku sztuki filmowej na cyrk lub tancbudę.

Nie wszystkim jednak smakują kwaśne jabłka i spleśniałe Ananasy. Chl.

P. S. To nic nie szkodzi, że zespół ten już „nareszcie" wyjechał, bowiem słowa artykułu nietyle celują w „Ananasy", ile obrazują co się podoba naszej przeciętnej publiczności.

Pegazem nad Lublinem

(feljeton)

Posiadam dziwną, nieopanowaną chęć ciągłego podróżowania. Ponieważ podróżuje się koleją, okrętem, samochodem, czy innym wehikułem, a za to trzeba płacić — przeto chęć moja pozostaje w stanie.. chęci, czy marzenia. Aby namiętność ta nie spaliła mej duszy na garść szarego popiołu, gaszę ten trawiący mnie ogień w sposób dość prosty i może ktoś powie — naiwny. Pochylam się nad mapą — nisko, niziutko, jaknajbliżej zielono-żółto-czerwonego, romerowego papieru. Mapa rozrasta się do niewiarogodnych wprost rozmiarów i dzięki własnej pomysłowości oraz odrobinie fantazji przemierzam świat wzdłuż i wszerz, z szybkością jakiej pozazdrościłby mi nawet rekordzista — pilot.

Nie przerażają mnie mroczne głębie sinego Atlantyku, nie straszą mnie otwartemi gardzielami przepaści Himalaje, nie grozi mi swą hutniczą temperaturą Sahara — a przecież przez nie wędruję!

Pochylam się właśnie nad mapą Polski. Coraz niżej i niżej... Zniknęły we mgle ściany pokoju — horyzontem stały się krawędzie stołu, zniknął stół — horyzontem stały się czarne brzegi mapy; zniknęły i te ostatnie — horyzontem stał się... lazur nieba z niesfornie rozrzuconemi przez wiatr loczkami obłoków. (Tu przyszła mi w pomoc fantazja).

Błąkałem się przez jakiś czas po bursztynowem wybrzeżu Bałtyku, odwiedziłem Gdynię, lotem strzały przemknąłem nad szczytem radjostacji toruńskiej i przez Płock pomknąłem do stolicy. Ponieważ jednak skołatana moja głowa nie znosi hałasu płynącego wzburzonym nurtem po ulicach Warszawy, postanowiłem „kropnąć się" do cichszego „ta joj" t. zn. do Lwowa (przecież to mnie nic nie kosztuje!).

Wzrok mój mknie po lessowych polach. Stop! A to co?... — Ujrzałem we mgle jakieś miasto, dość rozległe, rozciągnięte na łagodnych wzgórzach, przewiązane w najwęższym miejscu (jakby w pasie) białą tasiemką rzeki. Zaciekawiony zniżam lot fantazji... Azali mnie oczy nie mylą? — rzeka najwyraźniej ujęta w zielone łuki darni. Tak — uregulowana! Ho, ho niebywałe — uregulowana rzeka płynie spokojnym nurtem przez dwa miejskie płuca — łąki.

Z jednej strony rozciągają się wzgórza, piękne, malownicze wzgórza najeżone wieżycami kościołów, umocnione zwartym kompleksem budynków. Jedne stare, pokryte patyną wiechów (ach, ile w nich musi się błąkać romantycznej tajemniczości) inne nawskroś nowoczesne, niby piękne pudełeczka. Miasto sobie niczego.

A to co?... Średniowieczny, warowny zamek? Snem wieków drzemie majestatycznie na górze nad równiną łąk i pól. Pośrodku widoczna jest baszta, kształtem przypominająca Barbakan krakowski, a na jej szczycie... katowskie narzędzie—topór. Brr.. wstrząsnąłem się; czyżby to było miejsce kaźni czy kary? Dużo dałbym za to, żebym mógł zajrzeć do wnętrza tych murów, wiele z pewnością nasłuchałbym się legend i baśni, gdybym mógł do nich przyłożyć ucho. Wielka szkoda, że fantazja pozwala mi się tylko unosić nad tem wszystkiem. Chciałbym tu się znaleźć jako osoba „cielesna", któraby mogła „całkiem realnie" dotknąć swą stopą ulic tego pięknego grodu.

Tymczasem wyobraźnia niesie mnie dalej — ponad domy, wieże. Przelatuję nad dziwną zbieraniną pałot rozwalonych budynków. Zdaleka dostrzegam wyryte w ich kształtach piętno średniowiecza. Stoją jedne obok drugich, zbite w zwartą masę, trwożnie cisnącą się do góry zamkowej jakby szukały przy niej jakiegoś schronienia przed wyimaginowanym wrogiem.. Tak, niewątpliwie kiedyś, przed wiekami musiały je zatrwożyć dzikie hordy azjatów i tak, na wieki zastygły w tej trwodze, przycupnąwszy przy zamku — obrońcy. Z pewnośaią przeżyły tragiczną lecz bohaterską przeszłość.

Przelatuję nad drugiem wzgórzem pnącem się stromo naprzeciw góry zamkowej. Cudny zakątek, istna niezdobyta twierdza. Ponad kompleksem, zda się wiecznych murów, drzemie w swej majestatycznej powadze stary, stylowy kościół. Wsparty, potężnemi skarpami o sam brzeg wzgórza dumnie panuje okolicy niosąc jej błogosławieństwo. Pewnie nigdy nie postała w tej świątyni noga dzikiego najeźdźcy, gdyż zda się jakaś potężna, boska moc stać musiała na straży tych sędziwych murów.

Renesansowy fronton kościoła ściśnięty w zmurszałe okowy staromiejskich, trzyokiennych domów. Tu zaczyna się istny labirynt wąskich uliczek. Wspaniały typowy wygląd Starego Miasta, które pamięta Piastów i Jagiellonów, wielkich mężów i rycerzy, średniowiecznych mieszczan i „kontuszowych wąsali" — całą przeszłość Polski. Zaiste cenne zabytki kryją niewątpliwie te mury. Ach romantyczna moja dusza zawodzi z żałości, że nie może między nie zstąpić.

Pchany przemożną siłą nieokiełznanej fantazji lecę dalej.. I znów czuję bolesny skurcz na widok mijanych cudów. Znajduję się nad zamkniętym czworobokiem kamienic, na środku którego wznosi się okazały gmach. Zapewne jest to rynek. Co to za budynek, jaka jest jego przeszłość?— tragedja, nie wiem, a tak pragnąłbym... A to co za kościół?.. — Nie, to baszta, czy wieża obronna, coś jakby brama strzegąca tajemnic Starego Miasta. Obok, niedaleko druga zda się iglicą swego szczytu chce rozedrzeć na puszyste strzępy przelatujący nad nią obłoczek.. Coś mi się snuje po głowie. Czyżby mi się to kiedyś śniło?...

Mknę nad jakimś placem, kościołem, blaszanem pasmem dachów, czarnemi czeluściami kominów, ziejących bezlitośnie dymem jak wulkany Jawy; znów plac, jakiś pałac, szereg domów i.. Coś mi się snuje po głowie.. Czyżbym tu był kiedyś?! Niby znane, a nieznane, niby bliskie, a dalekie. Gdzie mnie fantazja pognała? Czas ją przywołać do porządku!

..Podnoszę głowę w górę. Coraz wyżej i wyżej. Niknie lazur nieba i zaróżowione tym razem niesfornie rozrzucone przez wiatr loczki obłoków (tu opuszcza mnie fantazja) —majaczy na horyzoncie czarna linja mapy, krawędzie stołu, ściany. Jestem „na ziemi". Spojrzałem na mapę z normalnej odległości, aby zobaczyć „na trzeźwo" gdzie byłem, co widziałem, czem się zachwycałem.

Między Warszawą a Lwowem (no tak, przecież o tem wiem dobrze) leży nasz, uważamy za „kopciuszka" Lublin. Rumieniec wstydu zapłonął na obliczu.

Nie poznałem rodzinnego miasta!! Nie, właściwie wkońcu je poznałem, tylko stąd ta nieznajomość, że spojrzałem na nie inaczej niż zwykle. Dlatego wydało mi się takie bliskie a dalekie, takie znane, a nieznane.

Tego nie zniosę! Muszę się zrehabilitować przed samym sobą i... psiakość dobrze się składa, wszak lubię podróżować, więc zrobię sobie podróż.. po Lublinie.

Żyję od dziś hasłem: Pegazem po Lublinie! — Będzie przyjemne z pożytecznem. Mimo tego czuję się pobity, ale pocieszam się, że gdybym rzucił rękawice pod nogi 120-to tysięcznej rzeszy moich współmieszkańców, każdy uderzyłby ręką trzy razy na znak, że się poddaje bez walki.

Ach jestem zadowolony, bo niby Szyller-Szkolnik widzę na odległość rumieniec wstydu na obliczach czytających ten feljetonik. Ale to nie szkodzi. Na każdą słabość jest lekarstwo, więc jest też i na tego raka nieznajomości. Oto recepta: poznać to czego się dotychczas nie zna i po chorobie.

MARJAN EKIELSKI

ODSKOCZNIA

w następnych numerach rozpocznie druk cyklu artykułów i reportaży p. t. „Wędrówki po Lublinie" ilustrując życie lubelskie na tle historycznej panoramy, oraz wszelkie charakterystyczne dla naszego miasta ośrodki regjonalnej kultury, folklor przedmieść i znamienne rysy nowoczesnego rozwoju.

Turniej krasomówczy Koła Prawników

W dniu 11 stycznia odbył się turniej krasomówczy na K. U. L. Impreza ta niewątpliwie dowodzi ruchliwości naszego Koła Prawników, które spełnia swoją powinność w zakresie uzewnętrznienia wiedzy i walorów prawniczych na szerszą skalę. Pod tym względem jesteśmy z uznaniem dla inicjatorów turnieju.

Niestety uznanie nasze na tem się kończy, jeśli bowiem weźmiemy pod uwagę sam przebieg turnieju i jego poziom to sprawa ta nasuwa różne wątpliwości.

W każdym wypadku, czy Koło Prawników eliminowało i cenzurowało przedtem utwory krasomówcze czy nie, ponosi ono winę.

Jeśli zaniedbało tej konieczności będącej gwarantką poziomu, to na przyszłość będzie to nauczką. W przeciwnym razie, ocena eliminacyjna była b. pobłażliwa i stała pod znakiem „byle więcej gadania".

A to proszę Szanownych Kolegów może być szkodliwe, bo zawiedzione audytorjum, tym razem tak liczne, w przyszłości poniecha takie turnieje. Od prawników, występujących na publiczną arenę trzeba wymagać nietylko dobrej formy, ścisłości, dykcji i ekspresji, ale także znajomości prawa.

Nie należy też drukować programów z nazwiskami autorów mających tremę.. Niepotrzebna emocja dla słuchacza.

Występujący w obronie Włoch w konflikcie włosko - abisyńskim, kol. Grudziński dysponował zupełnie dobrą dykcją i przemawiał z zacięciem, skupiającem całkowicie uwagę słuchacza. Treść natomiast zanadto służyła celom nadania glorji Mussoliniemu i koncepcjom faszystowskim. Błyskotliwa forma i b. udatne zwroty retoryczne robiły jednak wrażenie przemówienia bankietowego, a nie mowy obrończej na forum Ligi Narodów. Autor nie poruszył najważniejszych atutów włoskich t. zn. ich roli cywilizacyjnej i ekonomicznej jaką sobie przypisują względem Abisynji. Pod względem ściśle krasomówczym całość wypadła dobrze.

Drugi zkoleji mówca, kol. Malczewski, broniący paktów Ligi Narodów, był bliski swego celu, ale do niego nie trafił. Chociaż otrzymał pierwszą nagrodę turnieju, recenzent będzie innego nieco zdania.

Ażeby przekonać dyplomatyczne audytorjum do jakiego w założeniu przemawiał, nie wystarczy operować zasobem wiadomości czerpanych z prawa narodów, należy dać także argumenty logiczne, wynikające z sytuacji międzynarodowej, trzeba skrytykować punkt po punkcie naruszone artykuły, trzeba dobitnie określić napastnika. Całość bowiem przemówienia była zlepkiem, zaś jedynym jasnym momentem było powołanie się na orzeczenie komisji sześciu. Co do formy zewnętrznej to była ona bez wyrazu — anemiczna.

Kol. Wujastyk jako referent sprawy włosko-abisyńskiej na terenie naszego sejmu oświetlił ją dosyć jasno i na tem tle zobrazował stanowisko Polski. Wysuwając wnioski co do nietrwałości wszelkich paktów, rzucił słuszne słowa ostrzeżenia w sensie ewentualnego napastnika na Rzeczpospolitą. Całość jednak nie dała konsekwentnego przebiegu myśli. Niektóre określenia były wplecione dygresyjnie, przeto przyrywały bieg logiki. Częste powoływanie się na mapę dowiodło walorów mówcy jako prezesa akademickiej Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Forma przemówienia dobra. Ciekawe jest jeszcze w imieniu jakiego stronnictwa przemawiał referent, wymieniając je na tle nowego sejmu?

Zgoła nieoczekiwanie wypadła sprawa Balladyny zarówno oskarżenie i obrona.

Oskarżyciel publiczny kol. Kicińska kilkoma ogólnikami „z całego serca potępiła" Balladynę. Nie słychać było oprócz głosu mówczyni, także żadnego argumentu, któryby zdruzgotał przestępczynię z poematu Słowackiego. Wielki poeta najlepiej sam oskarżył swą bohaterkę: wystarczyłoby powołać się raczej na jego zarzuty, niż wysilać się na dowody i tak niezbitej prawdy.

Obrona Balladyny w interpretacji kol. Srzednickiego stała się niestety źródłem pogrzebania całkowiego „biednej" oskarżonej. Przyznanie się obrońcy, że „nie ma zielonego pojęcia o procedurze sądowej i prawie" było najzupełniej słuszne, ale bronić przed opinją publiczną kogoś, będącego pod zarzutem morderstwa, to nie jest sprawa tak humorystyczna jak sobie wyobraża obrońca. Lepiej już wcale nie bronić. Stek niekonsekwencji w rodzaju odpierania zarzutu morderstwa, raz twierdzeniem, że Balladyna nie popełniła go, bo nie ma dowodów, to znów, że zabiła jako osoba nienormalna, psychopatka lub warjatka, nie posiada nic wspólnego z logiką, na którą powoływał się niefortunny obrońca. Co do znajomości przez zebranych na turnieju Balladyny Słowackiego, w którą mówca wątpił, to najlepiej było wypytać o nią tak na wyrywki...

Forma zewnętrzna przemówienia wykazywała braki już nietylko prawne, ale gramatyczne i stylistyczne. Nie mówi się literatura z akcentem na „a" lecz na „u", nie mówi się „wysoki sąd wydali wyrok", a zdania wszelkie trzeba wykończyć na kropce nie na przecinku.

Szkoda, że obrońca nie wystąpił ze swą mową... w skeczu, zbierałby jeszcze większe oklaski.

Tak doskonały temat jak oskarżenie i obrona Balladyny skończył się zupełnem fiaskiem.

Sprawa Gołębiowskiej w oskarżeniu i obronie kol. kol. Ciozdy i Szyszki, wypadła poprawnie, jednak nie przedstawiała większych walorów. Poziom przeciętnego studenta, który przeczytał powieść Szelburg-Zarembiny i zareagował na to powierzchowną oceną bohaterki.

Broniący Gołębiowską Szyszko niepotrzebnie silił się na patos, sztuczność nie przeniknie psychiki sędziów.

Na marginesie roztrzygnięcia jury nasuwa się uwaga pod jakim względem należało oceniać wartość wygłoszonych przemówień, czy z punktu widzenia merytorycznego opracowania czy też raczej ich krasomówcze walory.

Ze względu na nazwę turnieju sądzę że najszczęśliwszem wyjściem byłoby przyznać nagrodę temu z mówców, który zaprezentował i jedną i drugą klasę prawniczą.

Jury zresztą było b. wyrozumiałe, bowiem nawet najlepsze z wygłoszonych przemówień ledwo zasługiwało na trzecią nagrodę.

Chl.

Concordia res parvae cres cunt

Z małych się rzeczy zaczęło. Dwunastu przyjaciół zakłada w roku 1922 związek oparty na zasadach korporacyjnych. Początkowo miał nosić nazwę „Corona", lecz gdy tej samej nazwy korporacja poznańska sprzeciwiła się temu przemianowano korporację na „Concordia". I tak już zostało. Z. P. K. A. uznał rolę jaką „Concordia" odegrać miała na terenie Lublina i przyjął ją w poczet swych Członków Rzeczywistych w dn. 25 IV. 1923 r. Rozwój korporacji i jej znaczenie na terenie Lublina były bardzo duże.

Od początku Korporacja bierze czynny udział w życiu społecznem, pracując w Towarzystwie Opieki nad Więźniami, Towarzystwie Obrony Kresów Wschodnich i w Czerwonym Krzyżu. Bale doroczne Korporacji cieszą się olbrzymiem powodzeniem i są uczęszczane przez elitę towarzyską Lubelszczyzny. Ze strony Z. P. K. A. K! „Concordia" jest uważana za krzewiciela idei Korporacyjnej na terenie Lublina i cieszy się dużem poważaniem. Na jej wniosek podjęte zostały przez Z. P. K. A. prace nad listą starszeństwa Korporacyjnego. Ona organizuje w Lublinie Zjazd Rady Naczelnej Korporacyj Związkowych i była łącznikiem Korporacyj związkowych i zjednoczeniowych. Jej pierwszy prezes Stefan Wolski za zasługi położone na terenie pracy Korporacyjnej zostaje wraz z prof. Bronisławem Bouffałem f. h. c. „Concordia" odznaczony najwyższą odznaką Korporacyjną złotym cyrklem. Z uniwersytetem stosunki układają się jaknajlepiej. Ówczesny rektor K. U. L. J. M. Ks. Józef Kruszyński zostaje filistrem honoris causa, pozatem szereg osobistości wybitnych wchodzi do Związku Filistrów założonego w r. 1928 za staraniem prof. Bouffała i pierwszego prezesa Korporacji Stefana Wolskiego. Następny prezes Henryk Suchodolski z całem poświęceniem pracuje nad dalszem ugruntowaniem stanowiska K! na terenie Lublina. Łączność Korporacji Z. P. K. A. powiększa się przez zawarcie kartelu wieczystego z K! Leopolją ze Lwowa za prezesury c! Jerzego Wilskiego. Akt ten był poprzedzony w roku 1925 aktem kartelu tymczasowego. Jeszcze jedną chwilę uroczystą przeżywa Korporacja jest to poświęcenie sztandaru w roku 1929 za prezesury c! Andrzeja Grejnerta.

Te lata są szczytem dla rozwoju idei Korporacyjnej i jej najważniejszej przedstawicielki „Concordi" na terenie Lublina. Potem przychodzi okres ciężkiej konjunktury gospodarczej, stosunki uniwersyteckie zaczynają się zmieniać, powstaje myśl umniejszenia autonomji uniwersyteckiej. Wszystko to godzi w życie Korporacji. Wśród zwątpień i niepewności czy walczyć o dawne stanowisko w społeczeństwie, czy też przystosować się do zmienionych warunków zaczyna się upadek Korporacyj. Przychodzi okres ciężki, okres próby, czy Korporacje, istnością zdolną do życia w warunkach walki i niepewności. W roku 1934 wychodzi nowa ustawa akademicka. Rozbija ona Z. P. K. A jako związek międzyuczelniany i ingeruje w wewnętrzne życie Korporacji, dotąd nieograniczenie swobodne. Ale idea Korporacyjna jest silna. Staraniem i wytężoną pracą ówczesnego Prezydjum z prezesem c! Janem Zdzienickim na czele i członków K! przetrzymuje okres najtrudniejszy, dając dowód dużego skonsolidowania wewnętrznego oraz siły swych postulatów i wchodzi na nową drogę. Odrzuca cały dziś w ciężkich czasach kryzysu zbyteczny blichtr, przyćmiewa dawną świetność i staje do pracy nad odrodzeniem i wychowaniem mocnego człowieka.

To był czyn świadczący o dużej wartości Korporacji. K! Stara się zgromadzić w swych szeregach ludzi zdolniejszych w pewnych dziedzinach i postawić swe życie wewnętrzne na wysokim poziomie. Dzięki łaskawości J. M. X. rektora S. Szymańskiego K! otrzymuje lokal na terenie uniwersytetu, co ułatwia jej ogromnie współżycie z uniwersytetem i wpływa dodatnio na przebieg jej pracy.

Dziś można o K! „Concodia" powiedzieć, że miała w swem życiu okres świetności gdy błyszczała całym przepychem życia zakrojonego na dużą miarę, jednak w czasach ciężkich umiała o tem zapomnieć i stanąć do szarej, wytężonej pracy stawiając sobie za cel prawdziwą przyjaźń i wewnętrzną zgodę gdyż — discordia maximae dilabuntur.

T. J.

Z Koła Ekonomistów

Współczesne zagadnienia światowe przesunęły się zupełnie zdecydowanie na płaszczyznę gospodarczą, a utrwalenie podstaw dobrobytu społeczeństwa w walce konkurencyjnej stało się najistotniejszem zadaniem polityki narodów. Praca mózgu poddaje badaniu każdy szczegół życia, dzięki czemu ulegają zasadniczej zmianie metody wyzyskiwania źródeł energetycznych i surowców, nowe metody pracy przechodzą ogniową próbę.

W związku z tem musi się spotęgować rola współczesnego państwa, tembardziej, że istnienie międzynarodowych karteli krępuje życie gospodarcze, a stworzenie nowych dróg wymaga tylu środków i wiedzy, że często inicjatywa prywatna zawodzi.

W tym skonsolidowanym labiryncie zagadnień, naczelnym postulatem jest poznać życie w całem jego bogactwie form i idei, w całej jego dynamice.

Ułatwić to może praca w naukowych kołach, zwłaszcza w Kole Ekonomistów,

Nasze Koło znajduje się w warunkach o tyle ciężkich, że atmosfera pracy jest niewdzięczna ze względu na małe zainteresowanie temi zasadniczemi zagadnieniami wśród młodzieży, a pozatem i w związku z tem wszelkie zamierzenia rozbijają się o trudności finansowe.

Koło ma stanowić w swem założeniu podstawę dla wymiany myśli, rozbudzić i wysunąć nowe zagadnienia, dać możność pełnego rozwoju intelektualnego i dalej stawia sobie za cel ułatwić studja, przez dostarczanie pomocy naukowych, udzielanie wskazówek i t. d. Wreszcie kładzie nacisk na zżycie koleżeńskie członków.

Ważnem również zadaniem Koła jest wypełnić przestrzeń, jaka istnieje między książką, a życiem: w tym celu Koło urządza wycieczki (do Rzeźni Miejskiej, P. Zakł. Przem. Zboż.), dla zapoznania członków z warunkami wytwórczości, sposobami produkcji, warunkami higjenicznemi i t. d.

Rok akad. 1935—6 rozpoczęło Koło zebraniem inauguracyjnem, poświęconem ekonomicznemu podłożu kwestji abisyńskiej. Na zaproszenie Zarządu Kurator Koła p. prof. Dr. W. Krzyżanowski, zawsze b. życzliwie traktujący wszelkie poczynania Zarządu, wygłosił odczyt p. t. „Główne zagadnienie polityki ekonomicznej faszyzmu".

Pozatem, na zebraniach ogólnych wygłoszono referaty: kol. prezes St. Pogorzelec — „O zakresie interwencjonizmu państwowego we współczesnem życiu gospodarczem", oraz kol. Paczos K. „O zasięgu kartelizacji w gospodarstwie polskiem".

Wreszcie Zarząd ogłosił konkurs na odznakę Koła, oraz przygotowywał Konkurs naukowy, który jednak ze względów finansowych nie dał się zrealizować.

Komitet akcji kulturalnej

Zarząd Bratniej Pomocy pragnąc pobudzić życie kulturalne i intelektualne młodzieży akademickiej na Uniwersytecie, postanowił powołać w tym celu specjalny Komitet. Zostało przeto zwołane zebranie studentów interesujących się każdą dziedziną kulturalną a więc: muzyką, malarstwem, literaturą, poezją, karykaturą lub śpiewem, ażeby mający się zawiązać Komitet był reprezentowany przez te wszystkie rodzaje.

Zebrani licznie studenci zgłosili gremjalnie swój akces do tej akcji, wynikiem czego powstał zespół ludzi, którzy podjęli się stworzyć ramy organizacyjne Komitetu.

Utworzono kilka samodzielnych sekcyj o ściśle zakreślonym charakterze działania. Powstała więc sekcja szopki akademickiej, której zadaniem będzie zorganizować szopkę ilustrującą najciekawsze typy naszej uczelni.

Powstał również zawiązek chóru rewelersów oraz orkiestra akademicka, która ma występować na wewnętrznych imprezach.

W kierunku literacko-wydawniczym postanowiono drukować miesięcznik akademicki, będący odzwierciedleniem życia literackiego i kulturalnego Lublina i Uniwersytetu. Słowa tutaj pisane są na łamach utworzonego miesięcznika. Liczni Koledzy, którzy weszli w skład Komitetu i objęli kierownictwo wszystkich sekcyj i podsekcyj, wyrazili żywą chęć pracy, przeto należy oczekiwać dodatnich wyników.

Nad całością akcji Komitetu będzie czuwał z ramienia Br. Pom. każdorazowy referent imprezowy.

Chochlik Lubelski

Z inicjatywy Akademickiego Koła P. C. K. powstał zespół kabaretu literacko-artystycznego pod nazwą Chochlik Lubelski.

Grupa młodych literatów oraz całkiem zdolnych młodych aktorów i śpiewaków, wśród których znalazł się również nieprzeciętny kompozytor, rzuciła myśl utworzenia rodzimego kabaretu literackiego, który byłby odpowiednikiem dla Lublina, tych form artystycznych jak Kukułka Wileńska, Lwowska Fala, czy Syrena Warszawska.

Akademicy ożywieni myślą podniesienia wartości Lublina, wartości kulturalnych postanowili dać społeczeństwu lubelskiemu wesołe wieczory urozmaicone regjonalną satyrą, tańcem, śpiewem, poetyckiemi recytacjami, magicznemi sztukami i in.

Chochlik to psotnik podpatrujący wszystko i wszystkich ..

Zespół Chochlika obrał sobie za siedzibę, restaurację „Europa".

Tam też w dniu 18 lutego odbył się pierwszy występ Chochlika w formie fajfu akademickiego. Kilka doskonałych wierszy, piosenki układu i kompozycji członków kabaretu, monologi i sztuki magiczne wraz z popołudniowym dancingiem wypełniły zebranym czas w atmosferze dobrej zabawy.

Zespół chochlika zamierza organizować akademickie fajfy co sobotę. Kulturalna rozrywka i miła zabawa w rodzinnem akademickiem gronie powinna wszystkim przypaść do gustu. Koszta całej zabawy wynoszą tylko 75 groszy ... dla oszczędnych (czarna kawa, herbata, piwo).

Pełny występ Chochlika odbywać się będzie co dwa tygodnie w niedzielę.

Będzie on b. urozmaicony i ciekawy.

Inauguracja kabaretu artyst. literackiego odbędzie się w dniu 26 lutego w „Europie" o godz. 23ej.

Z uwagi na swój charaker Akademickiego Koła P. C. K. zespół traktuje występy w sensie społecznym, dochód bowiem z imprez jest przeznaczony na Polski Czerwony Krzyż.

P. A. K. „Astrea":

Zeszyt pamiątkowy, Lublin 1935.

Przykład wszystkich zeszytów pamiątkowych i jednodniówek, które nieuniknęły żadnej ze stereotypowych wad.

Musowo wstęp, „garść wspomnień", musowo parę wierszy i sprawozdań. Tedy jeśli nie z rozrzewnienia, to napewno od ziewania łezki ci staną w oczach. Bo jeśliś nie współprzeżył jeśli całe to życie zaklęte na amen w hieroglify konwencjonalnych zdań było ci dalekie, to nic nie odgrzebiesz spod odwiecznego szablonu. Prawda, że nic nowego pod słońcem, że szablonu doszukasz się wszędzie, że aby wszystko było w dobrym gatunku, to ułożone w najstarożytniejszy fason, jeszcze może być miłe. Prawda, ale... tu właśnie nie wszystko „prima-sort" — (jak się to mówi na stołecznych Nalewkach, albo za miejscową Krakowską Bramą).

Wierszyki słabiutkie, fragmenty — z których o dziwo—jest tylko jeden—takoż. Kończy się on, ten fragment łzy wyciskającem: „pa, serdeńko". Ale łzy te zgoła nie z rozrzewnienia ani też z ziewania do oczu tłumnie się cisną.

Więc poco było to dawać? Na okrasę? Niechby był trochę cieńszy ten zeszyt. Wiadomo: cienkie ostrze — ostrzejsze. Ale gdzie tam: rybka jest nieświeża, rybka zaszkodzi, rybka niepachnie, ale na wigilję rybka musi być.

Jesteśmy dobrzy obywatele, solidni korporanci, poetów nie mamy, dajemy obraz swego życia, nie dbamy, że brak w zeszycie „działu literackiego", bo i tak tęcza naszych ideałów błyszczy w naszych najprostszych słowach. I powitałbym radośnie taki zeszyt. A tak: „pa, serdeńko!" i.... zapachniało mi litewskim bigosem.

A takie naprawdę ładne jest zakończenie słowa od redakcji. Tak iskrzy się w niem szlachetny patos młodości: — „marzenia i serdeczne porywy, proste, jak miecze—ku gwiazdom".

Myślałem, że wszystko będzie tam proste, jak miecze. Pomyłka. Interpretacja, czy uzupełnianie subjektywem dobrej pieśni Gaudeamus porozrywanej w cudzysłowach i powtykanej kawałkami, jak rodzynki w swego wypieku placek — nie jest proste. Powiedziałbym, że jest wyrafinowane.

I znowu wrogowie korporacyj mają z tego zeszytu uciechę. Dlaczego? Bo Korporacje są przedewszystkiem polskie — z krwi i kości polskie. A u polaków zawsze myśli, porywy i zamierzenia karleją w s ł o w a c h.

Jerzy Szczepowski.

„Ślizgawka" akademicka

Akademicy zdążający na wykłady, zwykle dość przyspieszonym krokiem, mają podróż wielce uprzyjemnioną; na chodniku od strony Uniwersytetu utworzono... ślizgawkę. Ciągnie się ona od uczelni aż do Domu Żołnierza.

Ślizgawka jest w rzeczywistości rozrywką b. przyjemną, ale Ci którzy ją tolerują na Alejach Racławickich nie wzięli pod uwagę, że nie wszyscy studenci a zwłaszcza studentki umieją się ślizgać.

To też niejednokrotnie widziałem wypadki pośliznięć i nawet potłuczeń.

Nie znaczy to oczywiście, że akademicy są niezręczni lub niezgrabni, owszem koleżanki nasze są b. zgrabne. Znaczy to zupełnie co innego, że władze administracyjne nie zwracają żadnej uwagi na to, aby chodnik został wysypany popiołem lub oczyszczony z ubitego śniegu.

Może istotnie trudno jest zmusić stróża domów oficerskich do tych czynności lub może wogóle taki nie istnieje.

My jednakże nie chcemy zbierać guzów z tego powodu i domagamy się bezwzględnie usunięcia tej ślizgawki z trasy, którą dążymy na wykłady.

Coprawda obecna aura sama tę ślizgawkę zlikwidowała jednek błoto jakie powstało na wymienionym odcinku w niczem nie usprawiedliwia tego stanu rzeczy. Ktoś musi się zająć porządkiem tego chodnika.

Chl.

Kalendarzyk wyborczy

Bratniej Pomocy

W związku z nadchodzącym okresem wyborów do Bratniej Pomocy, który przypada na luty i marzec b. r., Zarząd Br. Pom. podaje do wiadomości członków stowarzyszenie kalendarzyk wyborczy.

Zaznacza się, iż przekroczenie niżej wskazanych terminów uwzględniane nie będzie.

LUTY

Dn. 5 — Zgłoszenie Członków Generalnej Komisji Wyborczej.

Dn. 6 — Ogłoszenie wyborów.

Dn. 10 — Przesłanie listy wyborców do Głównej Komisji Wyborczej.

Dn. 15 — Wyłożenie listy wyborców do przejrzenia na 5 dni.

Dn. 16 — Wyłożenie sprawozdania w 10 egzempl. na 10 dni.

Dn. 20 — Ostateczne reklamacje.

Dn. 25 — Ostateczne składanie list kandydatów.

Dn. 27 — a) Komisja ustala spisy wyborców i wykłada do przejrzenia na 2 dni,
b) ogłoszenie przez Komisję ważnie zgłoszonych list.

MARZEC

Dn, 1 — Walne Zebranie,

Dn, 8 — Wybory,

Poprostu mówiąc...

Rozmowy telefoniczne

Rozmawiać przez telefon wolno tylko 75 razy na miesiąc. Można rozmawiać również i 175 razy, ale jak każda przyjemność, tak i ta kosztuje osobno. Oczywiście nie jesteśmy powołani do zagłębiania się w wyższą matematykę stosowaną przez P.A.S.T.-ę, jest to dziedzina do, której przeciętny obywatel jest obowiązany dopłacić parę złotych miesięcznie, ale nigdy krytykować lub kontrolować.

Są jednak fakty, które wchodzą w kolizję nietylko z zdrowym rozsądkiem przeciętnego obywatela, ale także z wszelkiego rodzaju logiczną kalkulacją. I tutaj darujcie panowie z P. A. S. T.-y kończy się cierpliwość i płatnika rozmów telefonicznych a także każdego kto widzi takie dziwolągi.

Wiadomo jest powszechnie, drogą zdradzonej społeczeńsrwu tajemnicy, że jedna rozmowa telefoniczna kosztuje 8 gr. Nikogo nie zdziwi, że w sklepie, za grzeczność uczynioną przez firmę dopłaca się za użycie telefonu jeszcze 2 gr. To już tak po kupiecku—równy rachunek. Ale gdy przychodzi się na pocztę i tam za zwykłą miejską rozmowę trzeba zapłacić aż 20 gr., o sto procent więcej, to już zapytujemy prawem jakiego kaduka? I kto jest tym kadukiem? Czy P.A.S.T,-a czy też poczta zrobiła sobie źródło (wątpliwych) dochodów?

Był czas lepszej konjuktury, kiedy nie obcinano pensyj, nie liczono rozmów i wtedy płaciło się na miłe wezwanie telefonistki „proszę płacić“, 15 groszy, skąd więc teraz gdy Polskę całą opanowała tendencja zniżkowa P.A.S.T.-a czy poczta podwyższa telefon o całe 5 gr. zamiast o tyleż zniżyć.

A teraz wniknijmy w psychologię zwyczajnego abonenta. Naiwnych jest na świecie b. dużo ale najnaiwniejszym z naiwnych byłby obywatel telefonujący z poczty, podczas gdy w pobliskim sklepie taką sprawę może załatwić o połowę taniej.

Zastrzegam się, że nie wiem na czyją korzyść idzie „zarobek“ z telefonów czy P.A.S.T.-y czy poczty — uważam to jednak za rzecz obojętną — czyż warto się kłócić o te 80 gr. na miesiąc.. Jeżeli „zarobek“ jest większy to w Polsce musi być daleko więcej ludzi „dających się nabić w tubkę telefoniczną„ P.A.S.T.-y niż przypuszczałem.

Czy aby wszystko jest w porządku ze zdrowym sensem i arytmetyką...

Pogotowie ratunkowe

Sprobujmy skomentować nazwę pogotowie ratunkowe. Prawdopodobnie jest to obsługa sanitarna zaopatrzona w środek lokomocji, gotowa każdej chwili wyjechać na wezwanie. Zgódźmy się, że definicja ta jest najściślejsza.

Jednakże nie wszystkie pogotowia ratunkowe są szablonowe, niektóre są wybitnie indywidualne i wykazują wiele cech, niemających nic wspólnego z wezwaniem i gotowością.

Niestety do takich właśnie należy pogotowie ratunkowe lubelskie.

Nie chce operować zastrzykami morfiny, czy też innemi specyfikami podniecającemi żywotność; przytoczę fakt, który sam za siebie świadczy o sprawności tej instytucji. Kilka tygodni temu (szkoda, że już wówczas nie wychodziła „Odskocznia“), naprzeciwko Uniwersytetu zdarzył się wypadek potrącenia dorożki przez autobus miejski, skutkiem czego było poturbowanie, b. poważne, dorożkarza. Do lokalu Bratniej Pomocy, wpadł podoficer żandarmerji a za chwilę konduktor autobusu z prośbą, by wezwać telefonicznie pogotowie ratunkowe. Natychmiast zatelefonowałem pod wskazanym numerem. Usiłowania nasze jednak były bezskuteczne. Nikt nie odpowiadał. Dzwoniłem w odstępach kilku minut aż pięć razy. Telefon działał normalnie, tylko widocznie pogotowie nie działało wcale.

Doprawdy paradoksalna nazwa pogotowia, które wogóle nie odpowiada, może kosztować ofiarę życia ludzkiego. Zbyt droga ofiara.

Czy długo jeszcze będziemy świadkami nieudolności i abnegacji? Może zarząd pogotowia zwróci się z prośbą do akademików, by objęli dyżury...

Chl.

Dary dla akademików od ziemian

Apel Towarzystwa Przyjaciół Młodzieży Akademickiej skierowany do lubelskich ziemian o przesyłanie na rzecz kuchni akademickiej darów w naturze nie pozostał bez echa.

Spełniamy nasz miły obowiązek i na łamach swego pisma składamy gorące podziękowanie za okazaną pomoc: Pani Julji Vetterowej, Pani Apolonji Kozłowskiej, Panu inż. Ramułtowi, Panu Stefanowi Czerwińskiemu oraz Zarządowi Dóbr Brzezice.

Dobra wola i piękny przykład okazanego poparcia napawa nas ufnością, że znajdą się również i liczniejsi ofiarodawcy.

Oczekujemy, że na blizko sto wysłanych listów z apelem o wsparcie odpowie część ziemian zawiadomieniem iż można pobrać różne przeznaczone dla kuchni akademickiej produkta. Każdy worek kartofli, mąki, kaszy i jarzyn jest dla nas cenną zdobyczą. Stąd bowiem się czerpię bezpłatne stypendja żywnościowe dla niezamożnych studentów.

Miło nam będzie w następnym numerze miesięcznika napisać, iż na sto wysłanych listów, wszyscy interpelowani ziemianie nadesłali dary.

Przykro byłoby natomiast gdyby powyższe podziękowanie było ostatnim aktem; pragniemy podziękować jeszcze przeszło 90-ciu majątkom.

O dobrze zrozumiany interes

Choć żyjemy w dobie kryzysu i bezrobocia, mało naogół zdajemy sobie sprawę z potrzeby i metod walki ze złem, jakie się wśród nas panoszy. Niewłaściwe a krzywdzące naszego robotnika postępowanie tych, co wolą lekkomyślnie i bez zastanowienia dać żydowi pieniądze, za które znacznie lepszy towar dostarczy nam polski rzemieślnik, krzywdzi jednocześnie nas wszystkich, Polaków.

W zrozumieniu swego interesu, zwróciła się do Redakcji grupa ludzi, którzy chcą nam pójść jaknajdalej na rękę, byleby im tylko dać możność minimalnego zarobku i egzystencji. Ofiarowują się robić Wam obuwie w cenie i w gatunku, jakiego tylko zażądacie; Wy zaś okażcie, że rozumiecie potrzeby polskiego pracownika, za którego uczciwość ręczymy.

Poparcia Waszego wymaga dobrze zrozumiany interes ludności polskiej, którą musimy wyrwać z kryzysu dając jej pracę i tylko pracę!

A oto adresy:

Brzusek Antoni — Ruska 2,
Hochman Stanisław — Graniczna 16,
Wadowski Paweł — Narutowicza 56,
Wrzos Władysław — Bychawska 75.

Popierajcie firmy polskie ogłaszające się w „Odskoczni“!

Odskocznia

jest pismem akademickiem kulturalno-literackiem.

Odskocznia

jednoczy najzdolniejsze, młode pióra naszego Uniwersytetu.

Odskocznia

stawia sobie za cel propagandę i ożywienie literatury, sztuki i kultury lubelskiej, oraz wynajdywanie i uwidacznianie regjonalnych wartości lubelszczyzny, Lublina i znaczenia naukowego naszej Alma Mater.

Odskocznia

pragnie przemówić do całego kulturalnego społeczeństwa mocnym głosem o szacunek i przyjazną ocenę lubelskiej historji, tradycji i intelektualnej współczesności.

Łamy naszego pisma są do dyspozycji wszystkich, którzy pragną poprzeć wymienione tendencje.

Prenumerata roczna: miejscowa—3 zł., zamiejscowa—3.30 zł. Cena ogłoszeń: cała str. 120 zł., ½ str. 80 zł., ¼ str. 40 zł.

Redaktor: EDMUND LIPECKI. Zakłady Graficzne I. Pietrzykowski — Lublin, Kościuszki 4 Wydawca: BRATNIA POMOC K. U. L.